



**1/2 LITRA PIWA ZAWIERA 25 GRAMÓW
CZYSTEGO ALKOHOLU ETYLOWEGO**

**NAWET TAKA ILOŚĆ SZKODZI ZDROWIU KOBIET W CIĄŻY
I JEST NIEBEZPIECZNA DLA KIEROWCÓW**



**WSZYSTKO
CO DOBRE
ZACZYNA SIĘ
NA F.**



Intro

Redaktor naczelny: Dawid Balcerek

W momencie pisania tego wstępu już wiemy, że festiwal Bittersweet został wyprzedany. Zostały jedynie ostatnie bilety jednodniowe. To niesamowite, jak w tak krótkim czasie zbudowano markę, której uczestnicy zaufali w ciemno. Już „boję się”, co będzie za rok.

Bardzo podoba mi się, że organizatorzy nie zmienili obranego kierunku i również w tym roku pozostają konsekwentni. Było tyle narzekania: że line-up jest dla dziadków, że miejsce nie takie, że za głośno itd. Tyle mówi się o przesycie festiwali w naszym kraju, a tu proszę – w Poznaniu pokazali, jak to się robi.

Dla mnie Cytadela to idealna przestrzeń na tego typu wydarzenie. Szkoda, że ma swoje ograniczenia. Jestem ciekaw, jak organizatorzy poradzą sobie z nimi w przyszłości. Dobre miejsce, zróżnicowany line-up, świetna frekwencja. Szacuje się, że przez trzy dni przez festiwal przewinie się około 120 tys. osób. Czyżby Bittersweet znalazł złoty środek?

Wyważyli nostalgię lat dwutysięcznych, łącząc ją z dobrą elektroniką i czołowymi artystami z kraju. Bardzo podoba mi się również to, że nie poszli w kierunku śmieszkowania z wykonawcami, którzy na podobnych imprezach bywają traktowani jako symbol festiwalowej nostalgii – mam tu na myśli m.in. Majkę Jeżowską, Stachurskiego, Beatę Kozidrak czy Ich Troje. Nic do nich nie mam, ale mam nadzieję, że rozumiecie, o co mi chodzi. Niektóre festiwale mają takie zapędy – trochę dla żartu, a trochę jednak na serio.

W zeszłym roku nie byłem na Bittersweet ze względu na urlop i bardzo tego żałuję, ale w tym roku na pewno się wybiorę.

Z drugiej strony mamy przykład niewielkiego festiwalu Red Smoke, który odbywa się w Pleszewie. To kameralne wydarzenie, które rokrocznie jest wyprzedawane. Mamy tu do czynienia z muzyką niezależną, mówiąc bardzo ogólnie – gitarową.

Jeździmy tam regularnie i jest to dla nas wzór organizacji, jeśli chodzi o mniejsze, niezależne festiwale muzyczne. Oczywiście można doszukać się pewnych niedociągnięć, jak wszędzie, ale nie zmienia to faktu, że jest to absolutna czołówka. Coroczne sold outy tylko to potwierdzają.

Przywołuję Red Smoke po to, by pokazać, że poznaniacy nadal potrafią organizować wydarzenia na najwyższym poziomie – od tych kameralnych po największe festiwale. Wciąż mamy w sobie to DNA, za które podziwia nas cały kraj.

Mamy bardzo duży festiwal, z którego powinniśmy być dumni. Gonimy największych i jestem przekonany, że już niedługo ich wyprzedzimy. Wtedy to Poznań będzie pokazywany w telewizji jako festiwalowy wzór, a nie Trójiasto.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

WYDAWCA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

REDAKCJA:

Craft sp. z o.o.
ul. Książęca 1
61-361 Poznań

REKLAMA:

Michał Krupski
600 286 242
michal@freshmag.pl

WSPÓŁPRACA:

Julia Lipowicz
Zofia Myślicka
Rafał Szaroleta
Sylvia Klaczyńska

Karolina Sierszulska
Dominika Majewska
Kacper Jakubiec
Marynia Tuliszska-Zdrowa
Natalia Bednarz

NAKŁAD:

4000 sztuk

OKŁADKA:

Noriaki

Trzy dekady za deckami
Rozmawiamy z Glasse

4

9

**Od studenckiego radia
po największe festiwale**

Wywiad duetem Duszne Granie

Support your lokal artist
Wildecka kampania Fortuna Czarne

16

21

**Poznańskie trio jazzowe
na fali wznoszącej**

Wywiad z Głupim Komputerem

**Wydarzenia kulturalne
dla wszystkich Poznaniaków**
Letni program Estrady Poznańskiej

26

30

Fresh Art

Paweł Jaskuła

Foodhunterki
Wywiad z kulinarnymi blogerkami

38

**Prawie 90 lat funkcjonowania
języckiej legendy** **44**
Kino Rialto

Pyry, bimber i polscy drwale w Ameryce **52**
Wieś Posen

Spadkobiercy post-funku **62**
Wywiad z Madame Affair

48 **Łódź, która przywraca do życia Wartę**
Galar Poznański

58 **Estrada Stage Pop Up**
Sukces pierwszej edycji cyklu koncertowego

68 **Poznański przewodnik po sercu miasta**
Poznajemy Poznań na nowo



„Nie podążam za trendami”

Glasse

Rozmawiał: Rafał Szaroleta

Zdjęcia: Sylwia Klaczyńska

Postać instytucja na polskiej scenie klubowej – trzy dekady za deckami, na koncie największe kluby i festiwale w kraju, a i czasami jeszcze zagra na Ibizie. Od początków swojej przygody muzycznej związany z Poznaniem, gdzie regularnie grywał w legendarnym Eskulapie i SQ. Niedawno przeprowadził się na stałe do stolicy Wielkopolski, gdzie otworzył własny biznes gastronomiczny. Mamy nadzieję, że nasze miasto zyska nie tylko dobrą knajpę, ale i muzyczne kluby wykorzystają jego doświadczenie oraz wielki potencjał do organizacji wydarzeń. Witamy w Poznaniu.

Obecnie mieszkasz na stałe w Poznaniu, lecz to nie muzyka Ciebie tutaj sprowadziła, a gastronomia. Jak do tego doszło i dlaczego właśnie stolica Wielkopolski?

Tak, przenieśliśmy się do Poznania w sierpniu 2025 roku. Wyszło to trochę przypadkiem. Szykowaliśmy się ze współpracownikami do otwarcia miejsca z pizzą, ale braliśmy pod uwagę Warszawę. Pojawiła się propozycja lokalu w powstającym właśnie food hallu Kulinarna Kamienica w samym centrum Poznania. Przekonała nas ta formuła. Od razu wiedziałem, że będziemy musieli się przeprowadzić całą rodziną. A, że Poznań jest mi bardzo bliski, to bardzo ułatwiło podjęcie decyzji. Jeśli miałoby to być jakieś inne miasto, decyzja nie byłaby już taka prosta.

Prowadzenie takiego miejsca wymaga zapewne poświęcenia sporo czasu. Czy gastronomia jest również Twoją pasją?

Tak, oczywiście wymaga czasu. Lubię to, mam z tego dużą przyjemność, ale to muzyka jest moją największą i najważniejszą pasją. Drugą, może nie wszyscy wiedzą, są motocykle.

Jak łączysz granie z gastro, gdzie wiadomo, że tu i tu w weekend jest przecież najwięcej pracy?

Oj tak, czasami było hardcorowo. Jakiś czas temu, kiedy pracowałem jako szef pizzy w restauracji, łączenie tych dwóch zajęć bywało bardzo intensywne i wymagające. Mój weekend wyglądał np. tak, że w piątek miałem zmianę w restauracji,

w nocy grałem imprezę w Warszawie, w sobotę cały dzień w restauracji, wieczorem jechałem np. do Sopotu, żeby w niedzielę po dwóch-trzech godzinach snu w hotelu i dospaniu w pociągu wrócić na niedzielną zmianę w restauracji. Także tak, hardcore. Dzisiaj to już wygląda inaczej. Mamy tak ustawioną strukturę, że pracę w kuchni w lokalu nadzorują szefowie zmian i moja obecność nie jest tam niezbędna. Mam zupełnie inne zadania i obowiązki, które wykonuję w tygodniu.

Przez lata mieszkałeś w Warszawie. Poznań jest jednak mniejszym miastem z mniejszą ilością ludzi. Ciężko jest Ci się tu odnaleźć? Jak odbierasz w ogóle to miasto?

Ze względu na moją długą, bardzo długą „znajomość” z Poznaniem, nie miałem żadnego problemu z odnalezieniem się tutaj. To było trochę jak przeprowadzka do innej dzielnicy. Grywam tutaj od lat i poruszam się po centrum i okolicach sprawniej niż po niektórych dzielnicach Warszawy. Z Poznaniem wiążą się też absolutnie epickie wspomnienia, mam tu mnóstwo znajomych, także czuję się tutaj jak w domu. Oczywiście jest mniejszy, ale to akurat mi zupełnie nie przeszkadza. Wszystko zależy w jakim momencie życia jesteś i czego oczekujesz. Dla mnie ważniejszy jest teraz chill, spokój, możliwość spędzenia czasu z moimi synami. Akcja dzieje się w weekendy. (śmiech) To wszystko tutaj znaleźliśmy. Wszędzie też jest bliżej, w każde miejsce dojeżdżam w 15–20 minut. Brakuje tylko metra i te chore ceny parkingów – nie kumam.



W przeszłości często można było Ciebie spotkać w kultowym Eskulapie na cyklach RDST czy Import! Jak wspominasz tamte czasy i imprezy w naszym mieście?

Imprezy RDST czy Import! w Eskulapie to legendarne już biby, które miały ogromny wpływ na poznańską scenę house'ową. Dla mnie były to jedne z ważniejszych i najlepszych wtedy w Polsce. To absolutnie zajebiste czasy, dzikie imprezy, niesamowita ekipa i wspaniałe wspomnienia. Od Eskulapa, tak naprawdę, zaczął się mój „związek” z Poznaniem. To tam kończyłem set nad ranem bez koszulki w szaliku Lecha, wjechałem też na parkiet na rowerze, który znalazłem gdzieś na zapleczu. Epickie były też aftery. Rzucę tylko hasło „Kleberga”, kto był ten wie, kto nie był niech żałuje.

Za Tobą 30 lat grania. Twoje sety pozostają raczej w zbliżonej stylistyce, natomiast kluby często idą z duchem czasów i obecnie czuć mocne wpływy hard techno. Czy to jest nadal muzyka dla takich weteranów jak Ty? Śledzisz scenę?

Mogę mówić tylko za siebie, bo każdy niech słucha tego, co go rusza i co czuje. Odpowiadając na Twoje pytanie – to nie jest muzyka dla mnie. Mam wrażenie, że muzyka klubowa ogólnie przyspieszyła i to jest dla mnie ok, ale hard techno to już nie moje tempo i klimat. Czy śledzę, co dzieje się na scenie? Dzisiaj, jeśli korzystasz z social mediów, a algorytm wyłapie twoje zainteresowanie elektroniką, to od razu zasypie cię trendującymi klipami, kawałkami czy gatunkiem. Ja jednak w graniu od zawsze podążam swoim kursem, za swoim gustem i wyłapuję tylko to, co mnie porusza. Nie podążam za trendami. Żyję w swojej bańce muzycznej.

Po tylu latach na scenie i takim ogromem muzyki na rynku, masz jeszcze kogoś kim się nadal inspirujesz?

Lubię, szanuję i inspirują mnie artyści, którzy budują sety swoją muzyką, sztuką miksowania, selekcją. Którzy opowiadają jakąś historię, zabierają cię w podróż, a przy tym mają doskonały warsztat. Jestem jeszcze częścią pokolenia, dla którego to muzyka była i jest najważniejsza, a nie jakieś karykaturalne wygłupy za konsolą, czy rozbudowane show wizualne. Ostat-

nio miałem przyjemność supportować i posłuchać w Katowicach na festiwalu Tauron Nowa Muzyka dwie legendy – Nicka Warrena i Johna Digweeda. Właśnie w ich setach było czuć to wszystko, o czym powiedziałem wcześniej. Bez fajerwerków, ale mega klasa i flow.

Na przestrzeni lat współtworzyłeś wiele imprezowych cykli. Zadomowiłeś się już u nas? Masz jakieś plany co do Poznania?

Konkretnego planu nie ma, póki co „go with the flow”. Jest sporo fajnych miejsc w Poznaniu, w których zagrałem już kilka doskonałych imprez, np. w Slow, Rewirach, Schronie czy ostatnio świetna biba w mega klimatycznym letnim miejscu – Żuku na imprezie SQ.

W komentarzach pod Twoimi setami często można przeczytać, że ludzie są z Tobą i Twoją muzyką już ponad 25 lat. Czujesz, że wychowałeś całe pokolenie klubowiczów?

Z mojej perspektywy to już będzie kilka pokoleń. Ale rzeczywiście, niesamowite są takie sytuacje. Nawet ostatnio, właśnie w Poznaniu, na wystawie Szymona Brodziaka, gdzie miałem przyjemność grać, podchodzi do mnie chłopak i wyciąga płytę CD w super stanie i ciągle działającą. To był mój miks nagrany na Sylwestra w Eskulapie w 2002 roku! Szok. I takich momentów jest naprawdę sporo. Wtedy zdaję sobie sprawę jak długo to już robię, ale też pokazuje, jakie to były ważne czasy, emocje czy chwile dla tych ludzi, skoro mają taką płytę do dziś. Niesamowite i piękne.

Ten feedback również przydał się w chorobie. Czy przez chwilę zwątpiłeś, że nie będziesz mógł kontynuować swojej muzycznej podróży?

Oj tak, feedback był absolutnie niesamowity, wykraczający poza moje jakiegokolwiek moje wyobrażenia czy oczekiwania. Aż trudno sobie wyobrazić, jak to jest ważne i ile siły dało mi wsparcie płynące z każdej strony. A czy zwątpiłem? Jak trafiasz do szpitala w tak poważnym stanie, to myślisz tylko o jednej, a właściwie dwóch rzeczach. O rodzinie i o zdrowiu. Reszta jest zupełnie nieistotna. Z tym zderzyłem się dopiero wtedy, gdy sy-

” **Jestem jeszcze częścią pokolenia, dla którego to muzyka była i jest najważniejsza, a nie jakieś karykaturalne wygłupy za konsolę, czy rozbudowane show wizualne** ”

tuacja została opanowana, a lekarz zalecił, a właściwie zabronił mi grać w klubach przez 6 miesięcy. Tak, wtedy miałem wątpliwości czy jeszcze wrócę. Jak się okazało zupełnie niesłuszne. Po tej półrocznej przerwie zaliczyłem chyba jeden z bardziej intensywnych sezonów letnich w mojej karierze.

Odpaliłeś kanał na YouTube „Glasse – In Da House”. Sam działasz czy ktoś Ci w tym pomaga? Kiedy możemy się spodziewać kolejnych epizodów?

Kilka pomocnych rad udzielił mi Tommy Gustav i Loui z Taste The Music, ale nagrywałem i składałem wszystko sam. Trochę cicho ostatnio na kanale, ale już za chwilę wrzucam tam nowy video set, nagrany właśnie w Poznaniu na imprezie SQ w Żuku.

Przed nami XX-lecie Audioriver, z którym jesteś związany od samego początku. Co sądzisz o przenosinach do Łodzi? Podoba Ci się nowa przestrzeń?

Przestrzeń, logistyka, baza hotelowa w Łodzi daje duże możliwości rozwoju Audioriver i moim zdaniem taka przeprowadzka była nieunikniona. Każdy pewnie będzie mieć



swoje wersje na temat obu lokalizacji, w zależności od oczekowań. Ja kochałem skarpę, widok z góry i najśłynniejsze na całym świecie „sunday’owe” schody i ten, mimo wszystko, klimat kameralnego festiwalu. Z drugiej strony dla mnie Audio to przede wszystkim ludzie. To od lat takie nasze święto muzyki elektronicznej, gdzie spotykasz najczęściej znajomych. Z nikim się nie umawiasz, bo wiesz, że będzie na Audio. I czy to będzie w Łodzi czy innym mieście, to zawsze będzie Audioriver.

W line-up’ie mamy mnóstwo świetnych artystów. Na kogo najbardziej sobie ostrzysz ucho?

Prodigy, Jimi Jules, Damian Lazarus, Ame b2b Trikk, Shimza, Disclosure, Mind Against, London Electricity.

Wracając jeszcze do Płocka. Masz w pamięci jakiś moment, który szczególnie utkwił Ci w pamięci? Jakiś występ czy wydarzenie?

Nie będę ukrywał, że jestem wielkim fanem Sunday’a. Ma niepowtarzalny, specyficzny i magiczny vibe. Niemożliwy do osiągnięcia nigdzie indziej, bo tutaj wszyscy mają już „w nogach” przetańczone dwa dni festiwalu i w niedzielę już sobie płyną bez żadnej napinki. To wszystko w atmosferze przebijających się przez drzewa promieni słońca. Bajka! W wywiadzie z naked relaxing powiedziałem, że na Sunday nic nie musisz, wszystko możesz. I dokładnie tak jest. Płyniesz gdzie chcesz i jak chcesz.

Gdzie Cię usłyszymy latem? Będzie również Poznań?

Już za chwilę usłyszycie mnie na Las Festiwal w Paczynie, Cień Festival, Audioriver Sunday, Big Boat Party dwie edycje, ponownie w Łodzi, Warszawie, Gdańsku. Poznań też jest w planach pod koniec sierpnia na Spiritual w Nurcie. Usłyszycie mnie też w lipcu na Ibizie na imprezie Taste The Music. Także zapraszam.

Życzę dużo zdrowia i kolejnych lat za konsoletą!

Dzięki za rozmowę.



Duszne Granie

**Od studenckiego radia
do największych festiwali**

Rozmawiał: Dawid Balcerek

Zdjęcia: Michał Bachora

Łukasz Kowalka i Hubert Grupa, czyli Duszne Granie, to dla nas wyjątkowy duet. Przez lata wielokrotnie występowali na organizowanych przez nas wydarzeniach, a ich materiały regularnie pojawiały się na łamach Freshmaga. Pamiętam też ich audycje w Radiu Afera, gdzie co tydzień prezentowali muzyczne nowości i współtworzyli gusta całego pokolenia słuchaczy. Dziś grają na największych festiwalach w Polsce, a my z dumą obserwujemy ich spod sceny. Choć od lat są związani z Freshmagiem, nigdy wcześniej nie udało nam się przeprowadzić z nimi obszernego wywiadu. Kiedyś to my byliśmy gośćmi w ich radiowym programie, teraz więc przyszedł czas na rewanż.

Jak wygląda Wasza relacja poza sceną? Jeździcie razem na wakacje?

Łukasz: Nie, raczej nie. Nasze wyjazdy związane z Dusznym Graniem są trochę namiastką wspólnego wypoczynku. Granie traktujemy jako pasję realizowaną po godzinach. Na co dzień każdy z nas pracuje zawodowo, a wspólne koncerty są okazją do spędzenia czasu razem. Nie jesteśmy jednak zespołem, który nieustannie funkcjonuje także prywatnie. Jeździmy razem na koncerty, festiwale, ale wakacje spędzamy osobno. Tego wspólnego czasu jest i tak całkiem sporo.

Jak w ogóle się poznaliście?

Ł: Poznaliśmy się dzięki muzyce. Hubert pisał dla bloga Brand New Anthem, a ja działałem przy organizacji Beat Battle

Poznań. Odezwwał się do mnie przy okazji promocji wydarzenia i tak zaczęła się nasza znajomość. Później regularnie spotykaliśmy się na koncertach i imprezach. Prowadziłem już audycję „Duszne Granie”, a Hubert zaczął realizować własne programy w Radiu Meteor. W pewnym momencie uznałem, że nie chcę prowadzić audycji sam. Zaprosiłem Huberta do współpracy i tak powstał duet, który istnieje do dziś.

Ile lat prowadziliście audycję?

Ł: Około czterech–pięciu lat. Równolegle organizowaliśmy też imprezy pod szyldem Duszne Granie, głównie w poznańskim Labie. Z czasem czuliśmy jednak, że formuła audycji się wyczerpuje. Do tego Hubert wyprowadził się z Poznania, więc kwestie logistyczne stawały się coraz trudniejsze. Jednocześnie zaczęło pojawiać się coraz więcej propozycji grania. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że dzielenie się muzyką podczas imprez daje nam większą satysfakcję. W pewnym sensie realizowaliśmy ten sam cel co w radiu, tylko w innej formie.

Jak wyglądały początki Waszego grania?

Ł: Bardzo lokalnie. Graliśmy głównie w Poznaniu, na niewielkich scenach i w barach. Przez długi czas byliśmy po prostu lokalnym duetem DJ-skim.

Co ciekawe, kiedy dostałem swoją pierwszą propozycję zagrania imprezy, praktycznie nie umiałem jeszcze grać technicznie. Organizator, którym był Paszczak od Kill Da Chill, zablokował mnie do 8 bitów na scenę barową – uznał, że mam dobrą selekcję muzyczną i to wystarczy na początek. W dużej mierze właśnie od selekcji wszystko się zaczęło.

H: Miałem wcześniej jakieś nieśmiałość, całkowicie amatorские próby z didżejką, ale to Łukasz jako pierwszy zaprosił mnie do zagrania na imprezie Dusznego Grania w niezapomnianych Kisielicach 11 czy 12 lat temu. Już po jednym wieczorze złapałem zajawkę i kupiłem pierwszy kontroler, by ćwiczyć w domu. Później zrobiło się dość dynamicznie i grałem w różnych układach i miejscach, zarówno sam, jak i z innymi. Jednak od 5–6 lat można mnie zobaczyć za konsolą głównie z Łukaszem.

Dziś gracie na największych festiwalach w Polsce. Kiedy nastąpił przełom?

Ł: To nie był jeden konkretny moment. Duże znaczenie miały Rewiry, gdzie budowaliśmy własną społeczność i regularnie organizowaliśmy wydarzenia. Zaczęliśmy też bardziej świadomie prowadzić komunikację oraz media społecznościowe.

Drugim ważnym krokiem jest rezydentura w warszawskim Barze Studio. Regularne występy sprawiły, że zaczęliśmy docierać do nowej publiczności. Zadziałał też efekt kuli śnieżnej – kolejne osoby zaczęły nas zapraszać na swoje wydarzenia.

Co ciekawe, nigdy nie rozsyłaliśmy ofert bookingowych. Wszystkie zaproszenia pojawiały się naturalnie.

Na co dzień zajmujecie się jednak czymś innym niż graniem.

Ł: Zajmuję się komunikacją i wizerunkiem artystów. Współpracuję m.in. z Darią ze Śląska, odpowiadam za komunikację festiwalu NADA w Toruniu, a razem z Hubertem pełnimy funkcję dyrektorów artystycznych klubu Rewiry. Zajmujemy się bookingiem oraz komunikacją tego miejsca.

H: Oprócz Dusznego Grania i Rewirów, zajmuję się głównie dziennikarstwem muzycznym – jestem związany z redakcją Muno, w przeszłości pisałem także dla innych magazynów w Polsce i zagranicą. Współpracuję projektowo w różnymi podmiotami na rynku muzycznym – od organizatorów wydarzeń, przez wytwórnie i managementy, a kończąc na agencjach artystycznych czy marketingowych.

Hubert, Ty jesteś redaktorem naczelnym największego serwisu związanego z muzyką klubową w Polsce – muno.pl. Pamiętam jak zaczynałeś w Brand New Anthem. Przeszedłeś długą drogę, ale chyba jesteś w miejscu, w którym chciałeś się znaleźć.

H: Dziękuję, to bardzo miłe z Twojej strony. To prawda, przygoda z dziennikarstwem trwa już 16 lat, a od 6-7 jest to moje główne zajęcie w życiu zawodowym, które dziś całkowicie skupia się na pracy wokół muzyki.

Na pewno udało się zrealizować wiele planów, co wymagało sporo samozaparcia, konsekwencji i dbania o to, by zajaw-



ka, która stała się pracą, wciąż była zajawką. Co ciekawe, zmieniające się czasy i realia pracy w mediach wciąż dostarczają mi dowodów, że warto to robić i bodźców, by się w tym rozwijać. Muno ma się dobrze i jest takim medium, jakim chciałem, by się stało, gdy dołączałem do składu, a później przejmowałem stery. Czekają nas w redakcji interesujące zmiany, a równolegle do nich mam dla siebie kilka zawodowych planów do realizacji w bliższym i dalszym czasie.

Współczesny DJ musi być również obecny w mediach społecznościowych?

Ł: Tak, ale nie chodzi o kreowanie sztucznego wizerunku. Wielu bardzo dobrych DJ-ów praktycznie nie komunikuje swojej działalności. Tymczasem regularna obecność w mediach społecznościowych pozwala ludziom lepiej poznać artystę.

„O mitycznych układach mówią najczęściej ci, którzy wciąż wyznają zasadę, że wystarczy tworzyć i „that’s it””



Dziś sama muzyka często nie wystarcza. Liczy się też osobowość, autentyczność i sposób budowania relacji z odbiorcami. Jeśli wszystko jest spójne – selekcja, charakter i komunikacja – wtedy łatwiej się wyróżnić.

H: Temat jest wałkowany od tak dawna, że dziś trudno tłumaczyć innym DJ-om, że obecność w mediach społecznościowych jest absolutną podstawą i to od lat. W jaki sposób ludzie spoza klubowej bańki, którzy zamiast SoundClouda, na co dzień scrollują Instagrama mają dowiedzieć się o ich istnieniu? W jeszcze trudniejszej sytuacji są bookerzy, którzy mieliby takich artystów znaleźć, a następnie liczyć, że kogoś zainteresują abstrahując od tego, co reprezentują za deckami.

Brak komunikowania o swojej twórczości czy działalności na scenie jest brakiem szacunku dla samego siebie oraz godzin i sił poświęcanych na rozwijanie swoich umiejętności. Na szczęście to się zmienia i takich twardogłowych jest coraz mniej, w tym także w Polsce.

Od lat działacie jako dziennikarze muzyczni. Czy inni koledzy po fachu mają tremę przed rozmową z Wami?

Ł: Nie wydaje mi się. Przede wszystkim nie ma dziś w Polsce wielu mediów zajmujących się muzyką elektroniczną. Oczywiście są osoby wykonujące świetną pracę, jak Norbert Borzym czy Artur Wojtczak, a Czwórka nadal realizuje wartościowe audycje muzyczne. Nie odczuwam jednak żadnego dystansu ze strony dziennikarzy.

Ja sam bardzo lubię udzielać wywiadów. Przez lata byłem po tej drugiej stronie i zadawałem pytania, dlatego wiem, jak ważna jest rozmowa i wymiana doświadczeń. Dziś patrzę na scenę z kilku perspektyw: dziennikarza, organizatora, menedżera i DJ-a. Mam też poczucie, że o wielu ważnych sprawach w branży mówi się zdecydowanie za mało.

H: To prawda, brakuje mediów – podkreślam: mediów, nie „pejów” na FB czy IG – dedykowanych muzyce elektronicznej i kulturze klubowej, aczkolwiek nie jest to dziedzina zarezerwowana wyłącznie dla określonej grupy osób i podmiotów, by tylko one mogły o tym traktować. To żaden gatekeeping. Po prostu inne media rzadko zagłębiają się w tę tematykę – zazwyczaj nie

robią tego wcale lub bardzo powierzchownie. Zwyczajnie brakuje chętnych i przede wszystkim kompetentnych ludzi, którzy byliby w stanie tę muzykę i scenę rozpopularyzować i porozmawiać z jej twórcami w interesujący sposób. Większość tego typu zjawisk odbywa się w zamkniętym obiegu, a szkoda, bo sugerując się rosnącą liczbą wydarzeń z elektroniką w Polsce i osób, które w nich uczestniczą, potencjał jest spory.

Łukasz, jakie sprawy masz na myśli?

Ł: Chociażby o budowaniu wizerunku artysty. Bardzo często doświadczeni twórcy wypowiadają się z dużą frustracją, narzekając na realia rynku czy media społecznościowe. Tymczasem wielu z nich nie wykorzystuje nawet podstawowych narzędzi, które mają do dyspozycji. Nie chodzi o to, żeby nieustannie publikować zdjęcia czy tworzyć sztuczny wizerunek. Chodzi o budowanie społeczności i relacji z ludźmi. Dzisiaj to jeden z kluczowych elementów funkcjonowania na rynku muzycznym.

H: Dorzucając co nieco do tego, co powiedział Łukasz – mam wrażenie, że w Polsce wciąż gadamy o rzeczach, które były oczywiste już w 2018 roku. Co gorsza, z jakiegoś powodu niektórzy wciąż z nimi walczą, jak choćby z kwestią selfbrandingu na scenie klubowej uznając to za coś złego, a później mając pretensje do wszystkich wokół o to, że nikt nie jest zainteresowany ich nowym setem, produkcją lub zabookowaniem ich gdziekolwiek. „I właśnie dlatego nie możemy mieć ładnych rzeczy” – w takich sytuacjach bardzo często z Łukaszem powtarzamy to zdanie. Co gorsza, nie możemy mieć ładnych rzeczy i rodzimych artystów, którzy będą na tyle rozpoznawalni, by móc samodzielnie zapełniać kluby w Polsce, nie wspominając o zagranicznym sukcesie.

Czyli sama muzyka się nie obroni?

Ł: Nie. Muzyka jest fundamentem, ale sama się nie obroni. Jest mnóstwo świetnych selektorów, producentów i DJ-ów, o których mało kto słyszał. Nie dlatego, że brakuje im talentu, tylko dlatego, że nie potrafią lub nie chcą opowiedzieć wokół swojej działalności ciekawej historii. Ludzie nie przychodzą dziś



wyłącznie po muzykę. Przychodzą po doświadczenie, energię, atmosferę i osobowość. Dlatego tak ważna jest autentyczność.

H: Pełna zgoda. Muzyka obroni się tylko w jednej sytuacji – już podczas samej imprezy. Jednak nie dojdzie do tego jeśli ktoś nie da sobie szansy, by dotrzeć do ludzi z opowieścią o sobie i o brzmieniach, które go interesują, a idąc dalej, nie da powodów bookerom, by podjąć ryzyko i zaprosić za konsolę. Wtedy muzyka musi się obronić, bo parkiet weryfikuje wszystkich tak samo, niezależnie czy są mistrzami selekcji, mistrzami techniki czy jedynie mistrzami marketingu. Jeśli ta weryfikacja wypadnie blado, kolejnych szans może po prostu nie być.



To trochę wbrew romantycznej wizji, że dobra muzyka zawsze znajdzie odbiorców.

Ł: Dobra muzyka nadal jest najważniejsza, ale jest punktem wyjścia, a nie gwarancją sukcesu. Spójrzmy na największych artystów. Nawet jeśli dziś mogą pozwolić sobie na minimalną promocję, to wcześniej przez lata budowali swoją pozycję, rozpoznawalność i relacje z publicznością. Na scenie elektronicznej działa to podobnie. Talent jest konieczny, ale niewystarczający.

H: Moglibyśmy odesłać tu wszystkich do słów uwielbianego przez nas Tylera, The Creatora, który oprócz bycia absolutnie znakomitym artystą, jest przede wszystkim artystą świadomym tego, co składa się na jego sukces i pracę – a składa się m.in. wysiłek włożony w to, by dotrzeć ze swoją muzyką do ludzi, a nie

na odwrót, nawet posiadając dziś już taki status jak on sam. Jednak to kolejny problem – większość artystów nie interesuje się tematami, które nie są stricte związane z muzyką. Jednak taka wiedza – nazwijmy ją „wiedzą okołomuzyczną” – jest moim zdaniem kluczowa, by zrozumieć podstawowe mechanizmy, od których uzależniony jest sukces. Ludzie tego nie robią, a następnie mają pretensje do wszystkich, lecz nie do siebie samych.

W środowisku często pojawiają się zarzuty o „układy” i wzajemne promowanie znajomych. Jak na to patrzycie?

Ł: To jeden z moich ulubionych tematów, bo bardzo często słyszę takie opinie. Oczywiście relacje są ważne, ale nie wierzę w teorię, że ktoś jest regularnie bookingowany wyłącznie dlatego, że zna odpowiednie osoby.

Z perspektywy organizatora nie ma to większego sensu. Jeśli mam do wyboru artystę, który dobrze gra, pasuje do profilu wydarzenia i przyciąga publiczność, to właśnie jego wybiorę. To nie kwestia koleżeństwa, tylko logiki działania.

Oczywiście są osoby, z którymi współpracuję częściej, ale wynika to z tego, że znam ich podejście do muzyki, wiem czego mogę się spodziewać i mam pewność, że zrozumieją charakter wydarzenia.

H: O mitycznych układach mówią najczęściej ci, którzy wciąż wyznają zasadę, że wystarczy stworzyć i „that’s it”. Nagram set, zrobię produkcję, wrzucę w internet i voilà – „proszę mnie znaleźć, później docenić, a następnie zaprosić do zagrania na imprezie za odpowiednią gażę”. Niesamowite jest to, że ludzie prezentujący taką postawę i krzywiący się na słowo „networking”, naprawdę znajdują powód swoich niepowodzeń we wszystkim wokół, a nie w sobie, i co więcej, uważają, że to domena wyłącznie naszej sceny czy – mówiąc szerzej – branży. Tymczasem zapominamy o aspekcie czysto ludzkim, który jest uniwersalny dla wszystkich dziedzin życia.

Nigdy nie czuliście presji, żeby pójść o krok dalej?

Ł: Usłyszałem kiedyś od jednego z najważniejszych menedżerów muzyki elektronicznej w Polsce, że jedyną rzeczą, której brakuje Dusznemu Graniu, są własne produkcje. Być może miał

rację. Tylko, że Duszne Granie od początku było projektem realizowanym po godzinach. To nasza pasja. Nigdy nie planowaliśmy budować wielkiej kariery. Mamy poczucie, że znaleźliśmy miejsce, które daje nam satysfakcję.

Gramy festiwale, ciekawie rozwijamy się jako projekt i nadal sprawia nam to radość. Nie odczuwamy potrzeby ciągłego zwiększania skali.

H: Rozwój naszego projektu następuje naturalnie, w zgodzie z nami i naszymi życiami, a przede wszystkim następuje bez kosztu poświęceń w zakresie tych obszarów, których chyba po prostu nie chcielibyśmy poświęcać. Na pewno przez głowę przemknęły mi kiedyś myśli w stylu „a co byłoby, gdybyśmy...” i tu wstawmy np. nagrywali i publikowali każdy set, wzięli się za produkcję, robili nową sesję zdjęciową co pół roku, itd. Nie wiem jednak, czy takie dywagacje mają jakikolwiek sens, skoro nigdy nie były wystarczającą motywacją do tego, by zrobić coś „bardziej” lub „więcej”. Powtórzę zatem: nasz rozwój następuje naturalnie, a dzieje się tak dlatego, że jesteśmy w tym autentyczni i nie próbujemy być kimś, kim nie jesteśmy.

Czyli jesteście dziś dokładnie tam, gdzie chcieliście być?

Ł: W dużej mierze tak. Od kilku lat funkcjonujemy na poziomie, który daje nam spełnienie. Lubimy zarówno duże festiwale, jak i kameralne wydarzenia, gdzie liczy się przede wszystkim atmosfera. Nie postrzegamy siebie jako artystów, którzy muszą stale zdobywać kolejne szczyty. Bardziej odpowiada nam rola kuratorów muzycznych.

H: Dokładnie tak. Muzyka jest jednocześnie płaszczyzną i materia, wokół której funkcjonujemy – działamy na jej osi, posługujemy się nią, lecz jej nie tworzymy i nie odczuwamy takiej potrzeby.

Ładne określenie – kuratorzy muzyczni.

Ł: Tak. To określenie dobrze opisuje naszą działalność. Wyszukujemy muzykę, składamy ją w spójną historię i dzielimy się nią z ludźmi. Tak było kiedyś w radiu, tak jest dziś podczas naszych setów. To właśnie w tym znajdujemy największą satysfakcję.



Poproszę o trzy propozycje muzyczne albumów na lato.

H: Z najnowszych odkryć: Josh Conway – *Plum*. Z klasyków: Télépomusik – *Genetic World*. A z bardzo subiektywnych wyborów: Niki & the Dove – *Everybody's Heart Is Broken Now*.

Będzie co słuchać w drodze na festiwale! Dziękuję za rozmowę.

Cały wywiad znajdziecie na www.freshmag.pl



Wild (a) Side Of Art

Support your local artist

Dawno temu, jeszcze za moich czasów studenckich – a uwierzcie mi, było to już naprawdę dawno – po zdanym egzaminie chodziło się na Stary Rynek lub w jego okolice. Oczywiście studenci kierowali się tam, gdzie było przystępnie cenowo, a przy ul. Woźnej była taka knajpka, znana z tego, że lała z kija Fortuna Czarne. Do dzisiaj wspominam tę słodycz i lekki posmak kawy, który przypomina mi zdane egzaminy. Pamiętam, że to był wtedy hit. Jako niedoszły jeszcze student dziennikarstwa, koneser sztuki ulicznej oraz piwa – w życiu nie pomyślałbym, że moje życie się tak potoczy, że znajdę się w tym miejscu, gdzie właśnie jestem, bo historia zatoczyła koło. Dzisiaj jestem redaktorem naczelnym Freshmaga i przedstawię Wam historię, jak to Fortuna Czarne połączyło siły ze sztuką uliczną.

1/2 LITRA PIWA ZAWIERA 25 GRAMÓW
CZYSTEGO ALKOHOLU ETYLOWEGO



.WILD(A)
SIDE
OF ART.



NAWET TAKA ILOŚĆ SZKODZI ZDROWIU KOBIET W CIĄŻY
I JEST NIEBEZPIECZNA DLA KIEROWCÓW



Przenieśmy się teraz ze Starego Rynku na jedną z najstarszych dzielnic Poznania, Wildę. Od moich studenckich czasów bardzo dużo się tu pozmiało. Ta część miasta przeszła metamorfozę i nie chodzi o to, że z kultowego kina zrobili market. Mamy mnóstwo odnowionych ulic i pięknych kamienic, a szatan już dawno się stąd wyprowadził. Dzielnica ta nabiera zupełnie nowego charakteru, gdzie otwiera się mnóstwo nowych konceptów – od stylowych knajpek i kawiarni, po sklepy vintage z ciuchami i winylami. Na Wildę po prostu chce się jeździć, bo jest po co – nie tylko na basen czy po podręczniki szkolne (stara gwardia będzie pamiętać!).

Jak to mówi klasyk, np. na Jeżycach ciężiej dostać w mazak niż hummus. Wynika to z tego, że dzielnica bardzo się zmieniła i stała się modna. Wilda goni jak może, ale ma też swoje charakte-

rystyczne punkty, czego inne dzielnice mogą zazdrościć, w tym wspomniane Jeżyce. Industrialny i zarazem surowy klimat sprawia, że Wilda jest wyjątkowa – stare, odrapane kamienice, zrewitalizowane fyrtele i robotniczy sznyt. Do tego jest przepełniona graffiti i street artem – zaczynając od ulicy Hetmańskiej, gdzie mamy długi i kultowy hall of fame z pracami artystów z całej Polski. Dalej ciągną się kolejne galerie – przy ul. Roboczej i Przemysłowej, a to wszystko na tle legendarnych zakładów ZNTK, gdzie prace wychodzą z okien i ścian. Przy Górnej Wildzie wita nas kultowy mural Krzysztof Krawczyk, a od niego mamy już rzut kamieniem do wielkiej, malowanej reklamy... masła. Mural ten sięga głębokiego PRL-u, ale do dzisiaj można go dostrzec, a jego zdjęcia często pojawiają się na przeróżnych fanpejdżach. Warto też wspomnieć o legalnych ścianach przy Drodze Dębińskiej, gdzie znajduje się kolorowy wiadukt z obrazkami graficyarzy.

Właśnie w takich okolicznościach Browar Fortuna postanowił przeprowadzić swoją najnowszą kampanię Wild (a) Side Of Art, gdzie zaprosił do współpracy ulicznych artystów – Noriakię oraz Somearta. Panowie są mocno związani ze stolicą Wielkopolski, a ich prace możemy oglądać nie tylko na Wildzie, ale i na całym świecie.

To samo tyczy piwa Fortuna Czarne, które od zawsze kojarzy się z naszym regionem i Poznaniem, gdzie już pod koniec XIX w. ciemny trunek ważył mistrz piwowarstwa Hipolit Lackowski w swoim jeżyckim browarze. Czarne piwo z dodatkiem czystego cukru warzył w okresie międzywojennym również browar Kobylepole w Poznaniu, zwracając uwagę na jego leczniczo-słodowe właściwości, a po II wojnie światowej za produkcję wziął się również browar w Wolsztynie. Wszystkie te piwa zniknęły z rynku w czasach PRL-u. Wielkopolskie tradycje regionu kontynuował Browar Fortuna z Miłosławia, który w 1997 roku, pod okiem Aleksandra Stamma, rozpoczął produkcję swojego „czarnego”. Warto wspomnieć, że w 2006 Fortuna Czarne zostało wpisane przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi na polską Listę Produktów Tradycyjnych.

– Czarne jest najmocniej osadzone regionalnie. Jest duży wskaźnik lojalności wobec tego produktu tutaj, więc działamy dla fanów marki, ale staramy się naszymi działaniami też dotrzeć do tych, którzy nie znają naszej historii i nie wiedzą, że warzymy pod Poznaniem, a pierwsze kroki stawialiśmy na Jeżycach. Bo przecież Poznań to nie tylko rogale i koziołki.– mówi nam Justyna Dziemidowicz, koordynująca kampanię.

Tym samym na Wildzie pojawiły się reklamy „Czarnego” stworzone przez wspomnianych wyżej artystów – od bilbordów po oklejone słupy. Wszystko to w charakterystycznych miejscach, wkomponowując się w klimat dzielnicy. Noriaki



i Someart odgrywają tutaj ważną rolę, nie zostali dobrani przypadkowo. – Oba panów cenimy za ich twórczość i obserwujemy ich od lat. Dla nas street art jest bardzo bezpośredni, surowy, buntowniczy – dokładnie tak, jak nasza kampania czarne na białym, w której komentujemy rzeczywistość poznańską/lifestyle. Ta współpraca była dla nas bardzo naturalnym następstwem działań lokalnych. Dodatkowo obydwójce działają w stylistyce czarno-białej, więc idealnie się zgrało – mówi Justyna.

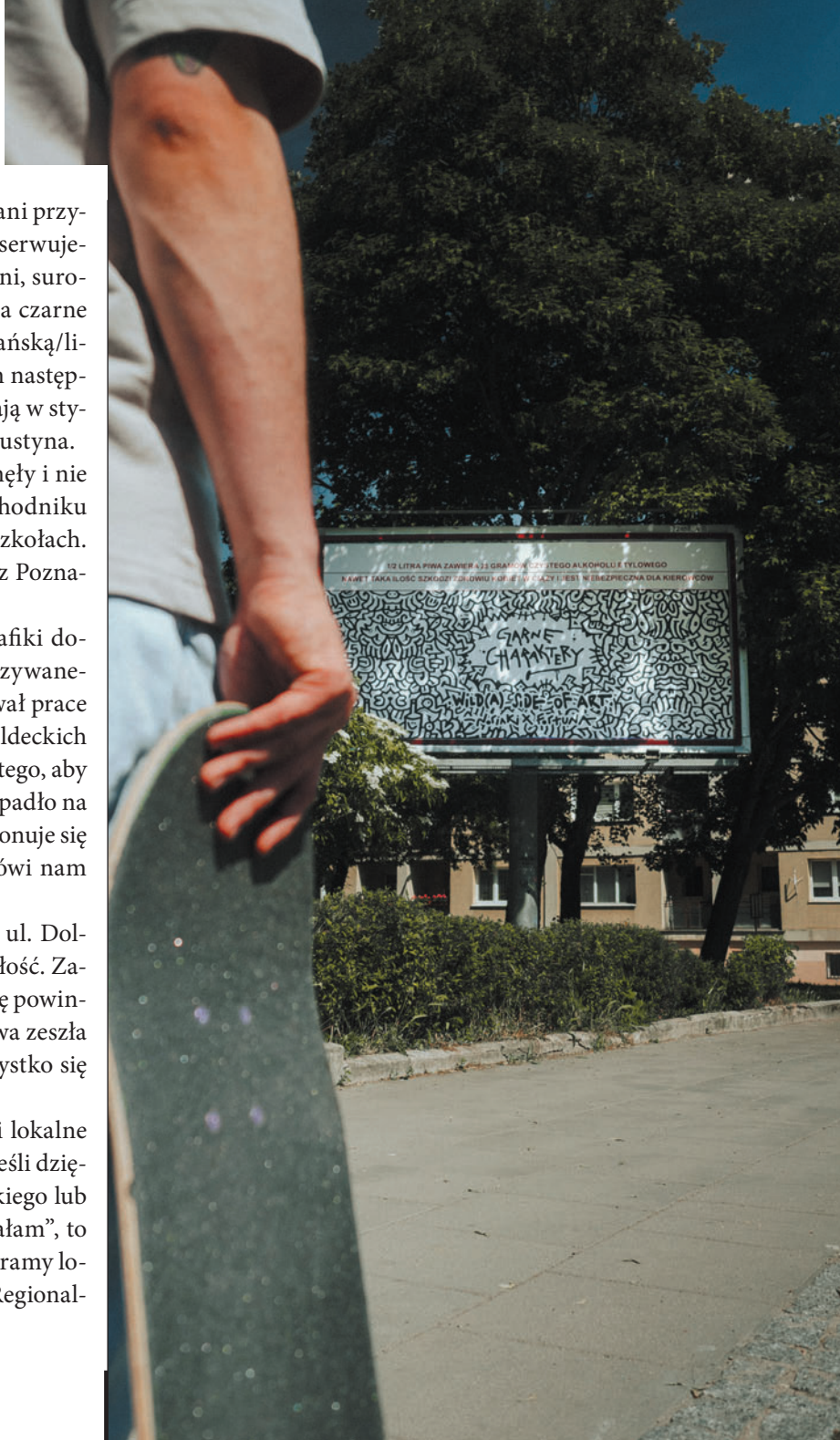
Mimo że Wilda jest dzika, to dzikie czasy już minęły i nie musimy oglądać czerwonych szablonów reklam na chodniku czy nielegalnie namalowanych reklam sprayem na szkołach. Dostaliśmy legalny street art od czołowych artystów z Poznania i reklamę, którą można podziwiać z ciekawością.

Noriaki stworzył charakterystyczne dla siebie grafiki do odle oraz dorzucił na plakaty Watchera, potocznie nazywanego Panem Peryskopem. Natomiast Someart przygotował prace utrzymane w stylistyce, którą dobrze znamy m.in. z wildeckich ścian. – Fajny koncept trzymania się jednej dzielnicy i tego, aby nawiązać hasłem do dzielnicy. Podczas projektowania padło na konturowe friendly faces, co według mnie super komponuje się z całością konceptu wraz z pracami Noriakiego – mówi nam artysta.

Oryginalne zestawienie ich prac znajdziecie przy ul. Dolna Wilda 20, gdzie trzy billboardy łączą się w jedną całość. Zabrzmiałoby to banalnie, ale Browar Fortuna pokazał jak to się powinno robić. Oddali przestrzeń artystom, gdzie marka piwa zeszła na drugi plan. „Support your local artist” – tutaj wszystko się zgadza.

– Bardzo chcielibyśmy, aby Poznaniacy doceniali lokalne marki, artystów i twórców oraz aktywnie je wspierali. Jeśli dzięki tej kampanii choć jedna osoba poznała nas, Noriakiego lub Somearta i pomyślała: „O, fajne, wcześniej ich nie znałam”, to znaczy, że osiągnęliśmy swój cel. My jako marka wspieramy lokalnych artystów i zachęcamy innych do takich akcji. Regionalność jest cool – podsumowuje Justyna.

Tekst powstał we współpracy z Browarem Fortuna.





„Jazz już dawno przestał być tylko jazzem”

Głupi Komputer

Rozmawiał: **Michał Krupski**

Zdjęcia: **Beata Wencławek**

Głupi Komputer to zespół, który trudno oddzielić od Poznania, a szczególnie od jeżyckiego klubu Pan Gar i związanej z nim alternatywnej sceny muzycznej. Trio tworzone przez Daniela Karpińskiego, Michała Fetlera i Jakuba Królikowskiego, okazjonalnie rozszerza skład do pełnowymiarowego big bandu, jeszcze mocniej poszerzając swoje brzmieniowe możliwości. Ich muzykę trudno jednoznacznie sklasyfikować, choć najbliżej jej chyba do jazztroniki – swobodnie łączą jazzową improwizację z elektroniką, klubową energią i alternatywną wrażliwością. To granie odważne, nowoczesne i bardzo charakterystyczne. Koncerty Głupiego Komputera to gwarancja muzyki na najwyższym poziomie – dopracowanej, pełnej energii i wykonywanej z ogromną świadomością. Ich utwory potrafią być jednocześnie taneczne, przebojowe i lekkie, ale też momentami bardziej refleksyjne i wymagające. Zespół znajduje się dziś w momencie, w którym coraz wyraźniej widać, że za chwilę będzie regularnie pojawiał się na największych festiwalach w kraju. W tym roku zagra między innymi na OFF Festival. Na kawce w Kaferdamie spotkałem się z Michałem i Jakubem, którzy odpowiedzieli na kilka pytań.

Żyjemy w czasach, w których jazz jest definiowany na nowo. Powstaje mnóstwo projektów określanych mianem „nowoczesnego jazzu”, które przyciągają publiczność i zapełniają sale koncertowe. Czujecie się częścią tego zjawiska?

Michał: Zdecydowanie czuć pewien trend i podmuch. Widać, że muzyka instrumentalna wraca do łask. Mam jednak wrażenie, że trochę przypadkiem załapaliśmy się na tę falę tym, co robimy. Nie wiem, czy czujemy się częścią konkretnego środowiska.

Jakub: Ja bym powiedział, że jednak trochę tak, tylko może jeszcze nie do końca zdajemy sobie z tego sprawę. To „odnawianie jazzu” dzieje się dziś w zupełnie innej formie niż kiedyś. Pojawia się elektronika, wpływy alternatywy, muzyki klubowej, improwizacji. Jazz nie jest już rozumiany wyłącznie jako swing czy mainstreamowa tradycja. To bardziej post-jazz, jazz futurystyczny, muzyka improwizowana z nowoczesnym podejściem. Są zespoły takie jak Immortal Onion, Niechęć czy Siema Ziemia, które pokazują, że istnieje już pewien wyraźny nurt.

M: Ja dodatkowo rozróżniłbym jazz jako gatunek muzyczny i jazz jako sposób tworzenia muzyki. Według mojej prywatnej teorii jazzem można nazwać też pewien proces – muzykę powstającą z improwizacji, ze specyficznego toku myślenia podczas grania. Jazz nie musi spełniać konkretnych formalnych wzorców.

Użyłem określenia „nowoczesny jazz”, bo ono rzeczywiście zaczęło funkcjonować w środowisku. Przykładem może być Niechęć – dziesięć lat temu nikt by ich tak nie określił.

M: Dzisiaj bardzo często muzykę instrumentalną automatycznie wrzuca się do worka z napisem „jazz”. Czy słusznie – to już osobna dyskusja. Ale rzeczywiście pojawiło się zjawisko, w którym muzyka bez wokalu i niepiosenkowa zaczęła być utożsamiana właśnie z jazzem.

J: Kiedyś byłaby klasyfikowana jako alternatywa albo scena niezależna. Dziś dostała nową etykietę. Dlaczego tak się stało? To pytanie do socjologów muzycznych i dziennikarzy. Rzeczy-



wiecie temat tych etykiet jest ciekawy, bo niby jednak jazz kojarzy się głównie z tym mainstreamowym a tu mamy instrumental wywodzący się z alternatywy i powstał „nowoczesny jazz”.

Nowoczesny jazz często polega na mieszanii gatunków. Jedni łączą go z elektroniką, inni z hip-hopem czy rockiem. Skąd według was bierze się moda na takie miksy?

J: Myślę, że wynika to przede wszystkim z ogromnej dostępności muzyki. Dzięki streamingowi każdy może dziś słuchać wszystkiego. Nie ma już jednej dominującej narracji mówiącej ludziom, co jest „właściwą” muzyką. Muzycy też nie żyją w próżni. Słuchają bardzo różnych rzeczy, inspirują się wieloma światami i naturalnie zaczynają je ze sobą mieszać.

M: Jesteśmy tym, czego słuchamy. Skoro dziś mamy dostęp do ogromnej ilości muzyki z całego świata, to efektem jest twórczość syntetyczna i wielogatunkowa. Najbardziej zaskakują mnie często festiwale muzyki etnicznej i world music. Właśnie tam regularnie słyszę rzeczy, których wcześniej nie wyobrażałem sobie jako możliwy kierunek rozwoju muzyki.

Mam wrażenie, że były dwa ważne momenty dla popularności nowoczesnego jazzu w Polsce. Pierwszy to początki lat dwutysięcznych i zespoły takie jak Skalpel. Drugi – sukces albumu „Taxi” od trio Łona/Konieczny/Krupa. Zgadza się?

M: Tak, choć powiedziałbym, że ten drugi moment bardziej przypieczętował proces, który już trwał. Wzrost zainteresowa-

nia muzyką instrumentalną był widoczny wcześniej. Historia po prostu zatacza koło. Tak jak wracają różne mody, tak samo wraca zainteresowanie muzyką instrumentalną.

J: Wydaje mi się, że dziś dodatkowo ludzie coraz bardziej potrzebują prawdziwego doświadczenia koncertowego. Zwłaszcza w czasach AI i muzyki generowanej komputerowo.

W Poznaniu jazz kojarzy się głównie z Blue Note'em, ale wy jesteście mocno związani z bardziej alternatywnymi miejscami, zwłaszcza z Panem Garem w Domu Tramwajarza.

M: W zasadzie Głupi Komputer powstał dzięki Panu Garowi. Najpierw wymyśliliśmy sobie, że chcemy założyć zespół, a potem od razu ustawiliśmy termin pierwszego koncertu. Dopiero wtedy zaczęliśmy pisać materiał. To był świetny sposób na zmobilizowanie się. Mam też bardzo sentymentalny stosunek do tego miejsca, bo wróciłem do Poznania w czasie pandemii. Pan Gar był wtedy jednym z niewielu miejsc, które praktycznie nigdy się nie zamknęły. Wchodziło się tylnymi drzwiami i człowiek miał poczucie uczestniczenia w czymś trochę tajnym.

J: To bardzo otwarte miejsce. Odbывают się tam jamy, koncerty etno, punkowe, improwizowane, piosenkowe itd. To nasi przyjaciele i ludzie, dzięki którym ten zespół w ogóle zaczął istnieć.

Czy w Poznaniu istnieje środowisko ludzi związanych z nowoczesnym jazzem? Chodzi mi o wspólne relacje, granie, spotkania.

J: Jest to temat niełatwy. Ale chyba tak, choć ono mocno wychodzi poza klasyczne akademickie rozumienie jazzu. Dawniej środowisko jazzowe bywało zamknięte, ale dziś to się bardzo zmienia. Coraz częściej mówimy po prostu o środowisku muzyki improwizowanej i twórczej – bez sztywnych podziałów. Raczej jest to środowisko okołojazzowe.

M: Ja mam trochę bardziej krytyczne spojrzenie. Uważam, że w Poznaniu brakuje miejsca, które naprawdę integrowałoby środowisko. Są różne grupy i podgrupy, które rzadko się przenikają. Kiedyś takimi miejscami były Dragon czy Meskalina. Dziś tego trochę brakuje. Jest duże grono muzyków, którzy mo-

gliby ze sobą współpracować ale nie ma zjednoczenia właśnie poprzez brak takiego miejsca łącznika.

Wasza debiutancka płyta została bardzo dobrze przyjęta. Ale wspominaliście, że proces jej tworzenia nie był łatwy.

M: Bo początkowo nasza muzyka opierała się głównie na swobodnej improwizacji. Mieliśmy ustalone pewne fragmenty, ale nie formy utworów. Weszliśmy z takim materiałem do studia. Bardzo pomógł nam producent – Mooryc. Pomógł uporządkować kompozycje i nadać im ostateczne kształty.

J: Potem nauczyliśmy się tych form na nowo i zaczęliśmy grać je koncertowo.

Pracujecie już nad drugim albumem?

J: Tak, od mniej więcej pół roku myślimy o nowym materiale. W maju zagraliśmy przedpremierowy koncert „próbą nowego materiału” w Domu Tramwajarza, na który przyszło bardzo dużo ludzi, fantastyczna impreza. Nie narzucamy sobie żadnych terminów, ale pomysłów jest dużo. Nie chcemy się spieszyć. Muzyka potrzebuje czasu.

M: Pośpiech przy komponowaniu i wydawaniu płyt zwykle nie jest dobrym pomysłem. Pracujemy też nad albumem live zarejestrowanym w ruinach spalonego teatru Centrum Kultury Victoria w Gliwicach w składzie GK++ czyli rozszerzonym składem z takimi zawodnikami jak saksofoniści Wojtek Braszak czy Krzysztof Kuśmierek (Unleashed Cooperation), perkusista Tomek Szczepaniak na autorskich instrumentach DIY oraz Zbigniew Wilk na suzafonie (kojarzącym się z jazzem nowoorleańskim).

Kawałki z nowej płyty pojawiają się już regularnie na koncertach?

M: Jeszcze nie, ale pewnie niebawem to się zmieni.

Mam wrażenie, że mimo świetnego odbioru pierwszej płyty nie gracie aż tak dużo koncertów. Z czego to wynika?

M: Nie mamy bookera. Działamy sami i najczęściej gramy tam, gdzie ktoś nas zaprosi. Ale tak naprawdę tych koncertów



wcale nie było mało. W zeszłym roku zagraliśmy około dwudziestu występów – między innymi na Warsaw Summer Jazz Days, Famie czy w Polskim Radiu.

J: Graliśmy też projekt z big bandem i na pewno będziemy do tego wracać.

Dla mnie Głupi Komputer jest zespołem bardzo klubowym.

J: Bo gramy muzykę taneczną.

M: I chyba rzeczywiście najlepiej funkcjonujemy w przestrzeniach klubowych. Chociaż oczywiście jesteśmy otwarci na inne formy grania.

Z jakimi innymi projektami muzycznymi jeszcze działacie?

J: Z Michałem działamy też w Fanfara Awantura – prezentujący materiał „prawdziwie polskie techno”. Zespół cały czas jest aktywny. Może nie gramy bardzo intensywnie, ale

regularnie koncertujemy. W zeszłym roku byliśmy na przykład w Skopje z repertuarem „true polish techno”. Poza tym gramy jeszcze wspólnie w zespole Koń. Michał występuje również z zespołem Uczta, a ja działam z festiwalem Światłodźwięki.

M: Ja przez pewien czas grałem też w Jazz Bandzie Młynarski-Masecki, choć obecnie projekt jest zawieszony, bo liderzy zajęli się innymi rzeczami.

Na koniec – podrzućcie kilka mniej oczywistych inspiracji dla osób, które chciałyby wejść w ten świat muzyki.

J: Nasi słuchacze porównują nas czasem do The Chemical Brothers, The Prodigy, Too Many Zooz, Colina Stetsona czy Morphine. (śmiech)

M: Trudno nas jednoznacznie sklasyfikować – i bardzo dbamy o to, żeby tak zostało. (śmiech)



Letnia odyseja kulturalna z Estradą Poznańską

Gdy lipiec rozgaszczają się w mieście, Poznań zaczyna funkcjonować na zupełnie innych obrotach. Osiedlowe skwery, ukryte w fyrtlach zielone place oraz śródmiejskie przestrzenie wypełniają się życiem na świeżym powietrzu. To znak, że Estrada Poznańska uruchamia swój letni program kulturalny. W tym sezonie przygotowała projekty, których wspólnym mianownikiem są wspólnota, lokalna tożsamość, sąsiedzkie spotkania i wartościowa sztuka obecna blisko mieszkańców. Sprawdźmy, co kryje się w tegorocznym wakacyjnym programie Estrady Poznańskiej.

Estrada zaprasza...

...na dziesiąte, pełne poruszenia podróże po poznańskich fyrtlach

7.07–21.08 LATO Z ESTRADĄ

Dziesięć lat obecności na poznańskich osiedlach to dla organizatorów moment szczególny. Cykl „Lato z Estradą” od dekady pokazuje, że kultura zyskuje największą wartość wtedy, gdy staje się naturalnym elementem codzienności. Jak podkreśla Małgorzata Kempa, dyrektor Estrady Poznańskiej, minione dziesięciolecie przełożyło się na ponad tysiąc otwartych, bezpłatnych wydarzeń i dziesiątki tysięcy widzów. Tegoroczna odsłona, przygotowana pod hasłem „Pełne poruszenie”, skupia się na dynamice – w programie dominuje muzyka, ruch, taniec i sztuka nowocyrkowa. Wydarzenia odbędą się w ponad dwudziestu lokalizacjach na terenie szesnastu poznańskich osiedli i będą realizowane przy ścisłym wsparciu lokalnych Rad Osiedli.

Wśród zaplanowanych spektakli plenerowych i performansów uwagę zwracają projekty zaproszone z różnych zakątków Europy. W programie zobaczymy m.in. Joshua Monten Dance Company, belgijską grupę BeFlat, czeski zespół Loutky bez hranic, Teatr na Walizkach, Teatr JaSię, Teatr Nemno, Teatr Uszyty, Teatr Formalina oraz Teatr KTO. Część wydarzeń zostanie przetłumaczona na Polski Język Migowy. Równie bogato prezentuje się program muzyczny. Na osiedlowych scenach wystąpią m.in. Klawo, Ala Polacca, Nagrobki grają Jagódki, Ina West, Jezve, SEDNO i Tropical Soldiers in Paradise. Najmłodsi będą mogli uczestniczyć w interaktywnych koncertach inspirowanych naturą. Ważnym elementem pozostają warsztaty i działania sąsiedzkie. Mieszkańcy wezmą udział w rodzinnej jodze na trawie, warsztatach ekologicznych, tkactwie roślinnym, spacerach etnobotanicznych oraz aktywnościach plastycznych. Wieczorny program uzupełnią seanse filmowe, m.in. „Ponyo”, „Aftersun”, „Perfect Days”, „C'mon C'mon”, „Cicha dziewczyna” oraz „Mój piękny syn”.



...do dialogu z modernistyczną formą w sercu Poznania

17.07–27.08 ESTRADA W CENTRUM

Od połowy lipca letni program wybrzmi także w centrum miasta. W ramach cyklu „Estrada w Centrum” na Placu Wolności, Placu Kolegiackim i Starym Rynku, w Pasażu Quadro, odbędzie się ponad 20 bezpłatnych wydarzeń o otwartym charakterze. Motywem przewodnim tegorocznej edycji jest powojenny modernizm i jego współczesne interpretacje, które wpisują się w krajobraz poznańskich placów. Program koncertowy skupi się wokół muzyki eksperymentalnej i awangardowej. Publiczność usłyszy m.in. Nuhę Ruby Ra, Sly and The Family Drone, Use Knife, Piotra Chęckiego z zespołem, Föllakzoid, ROBOTAROBOTA, RZWD, Years of Denial, Ciśnienie, hackedepicciotto oraz Niechęć.

Istotną część cyklu stanowią spacer architektoniczne przygotowane we współpracy ze Stowarzyszeniem Architektów Polskich. Uczestnicy poznają historię powojennej odbudowy śródmieścia, modernistyczne ikony Poznania oraz wybrane przestrzenie niedostępne na co dzień. W programie znalazły się także warsztaty dla dzieci, wspólne budowanie miasta z klocków LEGO®, działania performatywne i spektakle plenerowe. Publiczność zobaczy m.in. projekty Buried Dance Theatre, Teatru Komuna Warszawa, Teatru KTO, Joshua Monten Dance Company oraz grupy HASHIMOTOWIKSA. Cykl uzupełni spotkanie autorskie z Alexandrem Hacke. Na Placu Wolności odbędą się również wtorkowe seanse kina plenerowego po zmierzchu. W repertuarze znalazły się „Nie lubię poniedziałku”, „Columbus”, „Aalto – z miłości do architektury” oraz dokument „Błoki”.



...w podróż w przyszłość

21.08–23.08 PORTAL FILM FESTIVAL

Wyjątkowym punktem tegorocznego kalendarza będzie „Portal Film Fest” – nowy festiwal kina science fiction i fantasy, który po raz pierwszy odbędzie się w Poznaniu. Pomysłodawcą i kuratorem programu jest Jakub Turkiewicz, reżyser i autor książek „Wojna gwiazd” i „Orbita fantastyki”. Festiwal połączy klasyczne kino gatunkowe z koncertami, wydarzeniami specjalnymi oraz działaniami miejskimi. Motywem przewodnim pierwszej edycji będzie spotkanie nostalgii z przyszłością – spojrzenie na dawne wizje jutra z perspektywy współczesności. W programie ponad 20 seansów znajdzie się m.in. „Łowca androidów”, „Conan Barbarzyńca”, „E.T.”, „Willow”, „Terminator”, „Powrót do przyszłości” czy „Planeta Małp”. Zaplanowany jest również koncert Marka Bilińskiego, pioniera polskiej muzyki elektronicznej. Wydarzenia zagospodzą w Kinie Muza oraz w przestrzeni miejskiej, w tym w Pasażu Quadro.

Wszystkie drogi prowadzą w plener

Od osiedlowych zakątków przez ścisłe centrum aż po filmowe światy przyszłości – tegoroczny program Estrady Poznańskiej obejmuje koncerty, spektakle, warsztaty, spacer i pokazy filmowe w różnych częściach miasta. To okazja, by przez całe wakacje korzystać z kultury dostępnej w plenerze i blisko miejsca zamieszkania.

Do zobaczenia w plenerze!







Sztuka

i cały ten

hajs

FRESH ART: PAWEŁ JASKUŁA

Rozmawiała: Marynia Tuliszka-Zdrowa

Z Pawłem spotykam się w jego pracowni w Poczta Workspace. Rozmawiamy o pieniądzach, złocie i o tym, o czym nie każdy chce mówić. To nie jest nasze pierwsze spotkanie – nieraz mieliśmy już okazję wspólnie komentować otaczający nas świat. Tutaj zawsze jest miejsce na szczerość, przeplataną charakterystyczną ironią.

Powiedz parę słów o tym, co tworzysz i dlaczego.

Od około pięciu–sześciu lat zajmuję się szeroko pojętym tematem pieniędzy, złota i kapitału. To bardzo pojemny obszar, który pozwala mi łączyć różne wątki – od ekonomii, przez społeczne relacje, aż po kwestie symboliczne i kulturowe.

Początek tego cyklu wiąże się z moim dyplomem magisterskim w 2021 roku. Wtedy projekt miał jeszcze bardziej eklektyczny i ironiczny charakter. Jestem z wykształcenia malarzem, ale również fotografem. W tym nurcie powstał m.In. Cykl „złotych kurtek”, który obecnie można oglądać w centrum sztuki współczesnej w toruniu na wystawie poświęconej pieniądзом (*słodkiego, miłego życia*).

Równolegle rozwijam też inne wątki. Od około roku pracuję nad cyklem związanym z wizualnymi pozostałościami transformacji ustrojowej – elementami, które wciąż są obecne w przestrzeni, szczególnie w mniejszych miejscowościach: starymi szyldami, reklamami, fragmentami architektury czy różnymi „resztkami” dawnej estetyki. Interesuje mnie to jako coś, co nie zostało domknięte i nadal funkcjonuje w krajobrazie społecznym.

W efekcie moje prace krążą wokół pieniędzy, wartości i ich wizualnych oraz społecznych konsekwencji. Zarówno w wymiarze współczesnym, jak i tym, który wynika z przemian ostatnich dekad w polsce.



Fot. Martyna Wróblewska

Masz pracę, która powstała z „hajsu” – co w efekcie było więcej warte?

To jest ciekawa sytuacja, bo sama praca jeszcze nie ma ustalonej wartości rynkowej, nikt jeszcze nie pytał o cenę, więc nawet nie zastanawiałem się, jak ją wycenić.

Formalnie powstał obiekt, który jest dość prosty w formie: przezroczysta torba z ikei wypełniona rozdrobnionymi polskimi banknotami. W sumie jest tam około ponad milion złotych, choć trudno to policzyć dokładnie ile, bo całość to banknoty, które nie są już w obiegu – zniszczone, wycofane z użycia pieniądze, które są rozdrabniane i sprzedawane jako brykiet przez nbp. Kupiłem taki brykiet, pakowany w kostki o określonej wartości nominalnej. Całość materiału kosztowała mnie mniej więcej 1000–2000 złotych, więc tyle wynosi chyba realna cena użytego materiału. W efekcie trudno powiedzieć, co jest tu bardziej „warte” – sam materiał w sensie symbolicznym czy jego przetworzona forma jako obiekt artystyczny. Właśnie ta niejednoznaczność była jednym z kluczowych założeń tej pracy.

Jednocześnie w sensie symbolicznym nadal mówimy o milionie złotych, tyle że w formie całkowicie pozbawionej funkcji użytkowej. To pieniądz, który istnieje już tylko jako materiał, nie jako środek wymiany. Ale co ciekawe, ta praca ma też bardzo fizyczny, niemal zmysłowy aspekt, bo po otwarciu torby czuć zapach tych zniszczonych banknotów – normalnie śmierdzi hajsem!



Fot. Martyna Wróblewska



Fot. Martyna Wróblewska



Czy masz więcej takich dwuznacznych prac?

Tak, wielowymiarowość moich prac jest dla mnie ważna. Co ciekawe, ostatnio usłyszałem, że są one zabawne i ucieszyło mnie to, choć nigdy nie traktowałem humoru jako celu. Raczej wynika on gdzieś mimochodem z samej konstrukcji tych prac i mojej wrażliwości.

Jednym z przykładów jest cykl oparty na zdrapkach lotto ekstra pensja. Przez około rok kupowałem zdrapki i w sumie zebrałem ich około 200, za mniej więcej 1000 złotych. Statystycznie część z nich coś wygrywała, ale do głównej nagrody, czyli tytułowej „ekstra pensji” nie udało się dojść. Został więc zbiór przegranych zdrapek, które same w sobie stały się materiałem do pracy i komentarzem do mechanizmów losowości, nadziei i finansowej porażki.

Podobnie działają też moje obrazy, które obecnie maluję. Są one hiperrealistyczne i oparte na fotografii analogowej, ale nie chodzi wyłącznie o wierne odwzorowanie rzeczywistości. Staram się, żeby zawierały też warstwę komentarza dotyczącego sytuacji społecznej, finansowej, mieszkaniowej czy szerzej: warunków życia i funkcjonowania w systemie. Te tematy są mi bliskie również dlatego, że sam przeszedłem pewną zmianę pozycji społecznej.



Fot. Martyna Wróblewska

Czy sztuka to twoje hobby?

W sumie jeszcze jako student traktowałem własną twórczość częściowo jak pasję. Nie do końca rozumiałem wtedy, jak funkcjonuje świat sztuki i jak można z niej żyć. Jednocześnie zawsze miałem zasadę, żeby pracować w zawodach związanych z moim wykształceniem, czyli np. Malować murały, pracować w reklamie, fotografii czy konserwacji zabytków. Przez wiele lat łączyłem własną twórczość z różnymi zajęciami, często w niezbyt stabilnych warunkach. Myślę, że wielu młodych artystów mierzy się z podobnymi doświadczeniami. Zanim osiągnie się zawodową niezależność, trzeba poświęcić na to dużo czasu, pracy i determinacji.

Przełom nastąpił około 2020 roku, kiedy zmieniłem sposób myślenia o swojej pracy i zacząłem podejmować tematy, które naprawdę były mi bliskie. Od kilku lat utrzymuję się ze sztuki – tworzę własne prace, sprzedaję je i uczę malarstwa jako wykładowca. Dlatego nie traktuję już sztuki jako hobby. Hobby jest teraz dla mnie raczej ścianka wspinaczkowa, czyli coś, co robię wyłącznie dla przyjemności. Sztuka stała się moją codzienną pracą i sposobem na życie, co nie znaczy, że nie sprawia mi przyjemności!



Fot. Martyna Wróblewska

Czy artysta powinien być „głodny”, żeby lepiej tworzyć?

Nie, ten etos „biednego artysty” jest moim zdaniem mocno przereklamowany. W moim doświadczeniu jest wręcz odwrotnie – dopiero kiedy osiągnąłem względną stabilność finansową i życiową, zacząłem tworzyć prace, z których jestem naprawdę zadowolony. Kiedy nie muszę martwić się o podstawowe sprawy, mam więcej przestrzeni na pracę twórczą, mogę też normalnie funkcjonować, spać, regenerować się czy zajmować się innymi rzeczami.

Oczywiście sam proces twórczy zawsze wiąże się z frustracją – nie wszystko się udaje, nie każda praca jest dobrze przyjęta. Ale to coś innego niż chroniczna niestabilność czy brak podstawowych warunków do życia. Stabilność nie zabija twórczości, tylko ją w wielu przypadkach umożliwia.

Mam wrażenie, że mit nieszczęśliwego, głodnego artysty wynika bardziej z kulturowych projekcji niż z rzeczywistości. Pojedyncze, historyczne przykłady wielkich nazwisk, które żyły w trudnych warunkach, zostały mocno utrwalone i uogólnione. Do tego dochodzi romantyzowanie artystów po śmierci, wtedy ich życie i twórczość często są interpretowane w sposób uproszczony i mitologizowany. W efekcie powstało przekonanie, że artysta musi być niestabilny, nieszczęśliwy albo żyć w biedzie, żeby tworzyć wartościowe rzeczy. Uważam, że to fałszywy obraz. W praktyce dobra twórczość częściej powstaje wtedy, gdy artysta ma względny spokój i warunki do pracy, a nie wtedy, gdy zмага się z ciągłym kryzysem życiowym.

Cały wywiad na www.freshmag.pl



Fot. Martyna Wróblewska



Fot. Martyna Wróblewska

A photograph of three young women sitting on a light-colored sofa around a round white table in a cafe. The woman on the left, wearing glasses and a blue and white striped shirt, is eating a slice of cake. The woman in the middle, wearing a red shirt, is holding a dark cup of coffee. The woman on the right, wearing a white cardigan over a white top, is eating from a bowl. The table is set with various dishes, including a large stack of pancakes, a bowl of soup, and a small lamp with a warm light. The background shows a window with a view of the outdoors.

Gdzie zjeść w Poznaniu? One znają odpowiedź

Kim są Foodhunterki?

Rozmawiała: Dominika Majewska

Zdjęcia: Violetta Stepanova

Połączył je studencki projekt i miłość do dobrego jedzenia. Dziś Domi, Ola i Karo, czyli Foodhunterki, to gastronomiczna wyrocznia dla tysięcy Poznaniaków. Rozmawiamy o tym, jak działa ich trio, czy płatne wspólprace zabijają obiektywizm i dlaczego nigdy nie uległy wszechobecnej modzie na jagodzianki.

Dla kogoś, kto trafia na wasze konto po raz pierwszy: w trzech słowach, kim są Foodhunterki?

Domi: To są trzy dziewczyny, które lubią dobrze zjeść, lubią się bawić i lubią przedstawiać nowe sposoby poznawania Poznania – i nie tylko Poznania.

Skąd się znacie? Jak się poznałyście?

Karo: Ze studiów, z drugiego roku, gdy trafiłyśmy do jednej grupy. Robiliśmy razem jakiś projekt na zaliczenie i od tego wspólnego projektu zaczęłyśmy wychodzić razem na jedzenie. Brakowało nam w Poznaniu profilu pokazującego budżetowe, studenckie opcje z podanymi cenami. Gdy masz ograniczony budżet, łatwo wejść do lokalu i z niego wyjść, gdy nie masz na coś kasy. To się sprawdza do tej pory.

Czyli od początku działacie jako trio. Czy każda z Was ma stałą rolę w Foodhunterkach?

D: Większość obowiązków w tej chwili nachodzi na siebie, ale mamy swoje role. Ola na przykład zajmuje się bardziej kontaktem z klientami, ja harmonogramem i techniczną stroną. Ale w 90% przypadków się po prostu uzupełniamy.

K: Istotne jest też to, że działamy w takich tygodniowych slotach. Każda z nas opiekuje się jednym tygodniem, a po nim mamy wspólne podsumowanie. To bardzo usprawnia pracę.

Ola: Przez tydzień jesteśmy mocno zaangażowane w social mediach, a kolejne dwa odpoczywamy. Będąc twórczyniami internetowymi, jesteśmy cały czas zanurzone w tym świecie, bombardują nas powiadomienia, trzeba reagować, a dzięki temu systemowi mamy od tego urlop.

Co robicie, kiedy nie „polujecie” na jedzenie? Czy macie inne zajawki, niezwiązane z gastronomią? Potrzebujecie czasem odetchnąć od tego świata?

D: Ja prowadzę własną działalność w social mediach i marketingu dla firm gastronomicznych i hotelarskich. Jestem w to tak zaangażowana, że nie czuję potrzeby, żeby aż tak od tego odetchnąć. Zajmuję się też fotografią i łączę to z prywatnymi zajawkami, na przykład chodzeniem po górach. Ale to też łączy się poniekąd z Foodhunterkami, bo niedawno na przykład wpadł post o Bieszczadach, w których byliśmy. To się po prostu wszystko zalepia i dla mnie moje pasje stały się pracą.

O: Również mam działalność związaną z mediami społecznościowymi i też działam dla m.in. klientów z gastronomii, ale jednak potrzebuje trochę wytchnienia. Przez ponad 5 lat pracowałam w HR, gdzie zaczęłam rozwijać się w kierunku prowadzenia szkoleń. Od kilku miesięcy to część mojej pracy i to jest właśnie taki mój oddech od świata social mediów. Jeśli chodzi o czas wolny to jestem ogromną fanką czytania, słuchania audiobooków, filmów, seriali oraz sportu. Uwielbiam też podróżować. Z tego wynikała nowa zajawka, w którą bardzo się ostatnio wkręcam: fotografia i nagrywanie dronem. To moja absolutna „topka” ostatnich miesięcy. Można o mnie powiedzieć, że jestem „człowiekiem zajawką” – czym się nie zainteresuję, na tym się zakręcam.

K: Zawodowo też jestem z marketingu. Kilka lat pracowałam w agencji, później w kancelarii prawnej. To zupełnie inny temat niż gastronomia, ale też działamy intensywnie i kreatywnie. Prywatnie współpracuję też z klientami w branży ślubnej. Pozazawodowo i pozajedzeniowo (choć u mnie dużo rzeczy kręci się wokół jedzenia) zdecydowanie sport. Zarówno żeby go uprawiać, jak i oglądać. Do tego podróże. Ostatnio skupiam się na wyjazdach po Polsce, co jest moim planem na to lato: bardziej odkryć nasz kraj.



Czyli wszystkie lubicie odkrywać świat. A czy częste nagrywanie nie odbiera wam frajdy z samego jedzenia?

K: Miałam nad tym ostatnio refleksję. Był czas, gdy traktowałam wyjścia bardzo zadaniowo, z planem, który musiał się powieść. Musiałam trochę obniżyć swoje wygórowane oczekiwania. Udało mi się to zbalansować i staram się mieć też wyjścia, których po prostu nie nagrywam, żeby móc po prostu na spokojnie zjeść.

D: Ja szczerze mówiąc nigdy nie miałam takiego poczucia, że muszę coś nagrać. Jeśli to nie jest współpraca lub zobowiązanie, to raczej mam w głowie „zobaczmy, jak wyjdzie”. Zdję-

cia robię od zawsze, więc to mi zazwyczaj wychodzi naturalnie i nie sprawia problemu. Znajomi się śmieją, że potrafię nagrać coś tak szybko, rozmawiając i patrząc na nich, że nie wiedzą, kiedy to się stało. Ale czasem po prostu odpuszczam i to jest w porządku – nie trzeba nagrywać każdego dania.

O: Żeby się nie wypalić, dla nas opcją jest to, że poszliśmy w bardzo różnorodny kontent – to już nie jest tylko jedzenie, ale też to, co robić w Poznaniu, ciekawostki z dzielnic itd.

A jak wygląda wasz dzień nagraniowy? Uprzedzacie restauracje czy raczej zachowujecie anonimowość?

O: Przy współpracach jesteśmy umówione na konkretny dzień. Poza tym nigdy nie informujemy wcześniej restauracji. Kiedyś zdarzyło się, że jedna z nas została rozpoznana, co było dla nas nowością – zwykle tak się nie dzieje. Warto przypomnieć, że swojego czasu wcale nie pokazywałyśmy naszych twarzy. Robiliśmy to właśnie po to, żeby jakość jedzenia, sposób obsługi nie były podyktowane kojarzeniem nas z profilem foodowym, podczas gdy ktoś inny dostanie dużo mniej jedzenia albo zostanie inaczej obsłużony.

K: Staramy się te miejsca dobierać starannie, ale jeśli coś jest nie tak, też o tym powiemy. Warto pamiętać, że nasza wizyta to tylko wycinek rzeczywistości. Jednego dnia mogła być świetna obsługa a kolejnego akurat ktoś zachorował i było zastępstwo. Jeśli ktoś ma zastrzeżenia, warto dać znać na miejscu, bo wtedy restauracja może od razu zareagować. Opinia w Google wystawiona po fakcie utrudnia tę reakcję.

D: To, że jesteśmy we trzy, też jest fajne, bo każda ma inny gust i zauważa inne rzeczy. Każdy może wyciągnąć z tego co przekazujemy coś dla siebie. Nie trzeba się z nami zgadzać w stu procentach. Przeczytaj, sprawdź sam, podziel się swoją opinią – to ważny komunikat na naszym profilu

A płatne współprace wpływają na Waszą obiektywność?

K: Bardzo dokładnie i ostrożnie dobieramy współprace. Jeśli czujemy, że dane miejsce nie zainteresuje naszych obserwujących, raczej odmawiamy. Współpracujemy z miejscami, do których same z siebie też byśmy poszły.

D: Zawsze mówimy wprost restauratorom, że ostatnie zdanie pozostaje nasze. 90% naszych współprac nie jest nawet wcześniej akceptowanych przez klientów. I jeśli ktoś nie chce z nami przez to współpracować, to dla nas jest to „red flag” – sygnał, że nie jest pewny swojej jakości.

Czyli Wasze recenzje można traktować jako rzetelne i obiektywne?

O: Tak, zdecydowanie.

Śledzicie poznańską gastronomię od dłuższego czasu – jak się zmieniła? Co Was najbardziej zaskoczyło w trendach kulinarnych w Poznaniu?

K: Poznań jest bardzo dobrze postrzegany na mapie gastronomicznej Polski. Sądzę, że istotny jest ostatni rok, kiedy po pandemicznym marazmie nastąpił wyrzut nowych miejsc.

D: Poznaniacy są bardzo wymagający, co wymusza na restauracjach utrzymanie poziomu. W Poznaniu musisz zjeść dobrze i jeszcze w miarę tanio, żeby było tam kolejka. To różni nas od np. Wrocławia, Łodzi czy Trójmiasta. W popularnych poznańskich miejscówkach poziom jest naprawdę wysoki: ładne wnętrza, dobra obsługa, rzadko się zawiedziesz. Widać to przez wyróżnienia Michelin. W tym roku jest ich prawie dwa razy więcej niż w zeszłym, a jeszcze 3–4 lata temu nie było ich w Poznaniu wcale.

O: Mnie zaskakuje, jak Poznań utrzymuje wysoki poziom gastronomii. Karty zmieniają się tu co 6 miesięcy, bo poznaniacy są wymagający i jeśli nie znajdą w jednym miejscu czegoś, co ich zaskoczy, pójdą gdzie indziej. Zaskakuje mnie, że restauratorzy mają odwagę zmieniać dobrze prosperujące koncepty. Słyszałam od nich, że jest „era ośmiu lat”, po której trzeba zmienić kierunek. To jest jak surfowanie na trendzie – oni się tego nauczyli i wychodzi im to świetnie.

Wspomnieliście już trochę o trendach jedzeniowych, ale które z nich są Waszym zdaniem przereklamowane?

D: Nie powiedziałabym, że matcha nie jest warta uwagi, ale poszła zdecydowanie za daleko, co bardzo jej zaszkodziło. Wie-



„**W popularnych
poznańskich
miejscówkach poziom
jest naprawdę wysoki**”



le miejsc robi ją w zły sposób i przechowuje nieprawidłowo. Jak widzę matchę stojącą długo na blacie w ciemnym kolorze, robi mi się smutno. To jest produkt premium, a pójście na matchę do pierwszej lepszej kawiarni to moim zdaniem niedobry pomysł.

K: Matcha stała się trochę „śmieszkowym” trendem: „matcha i pilates”, matcha tu, matcha tam. To poszło bardzo szeroko, mamy już nawet ubrania, grafiki w kolorze matchy. Trend gastro wszedł w lifestyle. Sama uwielbiam matchę, robię ją w domu od lat, „zanim było to modne” i mam nadzieję, że wróci do bycia po prostu dobrym, zdrowym napojem, a nie tylko trendem z TikToka.

O: Ale też coś, o co od zawsze nas wszyscy pytają, i myślę, że się tu zgodzimy: jagodzianki. Co roku kiedy jest sezon

na jagodzianki, my dostajemy pytania o to, kiedy zestawienia i czemu nic w tym temacie nie robimy. Dla nas jest to po prostu drożdżówka, jak każda inna i nie będziemy napędzać trendu, w którym ludzie stoją w kolejkach po ileś godzin.

Ja niestety jestem wielką fanką jagodzianek i ciężko mi tego słuchać, dlatego przejdźmy do kolejnego pytania. Wasz obserwator przyjeżdża do Poznania na weekend – jedno śniadanie, jeden obiad, jeden wieczór na wino. Wasze polecenia?

D: Mamy swoje hashtagi kategoryzujące posty, np. #fhśniadanie, #fhpizza, #fhrandka – to ułatwia szukanie. Na śniadanie ostatnio odkrycie każdej z nas to Romans na Jeźyczach – bardzo jakościowa kuchnia, przepiękne wnętrza, świetna obsługa. Na

obiad, trochę droższy, bardziej na randkę, poleciłabym Maremmę: kuchnia włoska, ale w stylu toskańskim, z mięsami i serami bardzo dobrej jakości. W tym roku dostali wyróżnienie Michelin, podobnie jak ich sommelier. Ja jestem fanką wina, więc to miejsce mi bardzo odpowiada na większą kolację.

K: Co do śniadania zgadzam się, że Romans jest świetnym miejscem. Na wieczór poleciłabym Szkło na ulicy Gwarnej – miejsce w berlińskim stylu, które odczarowuje tę dawną, dość paskudną ulicę.

O: Ja pójde inaczej i wskażę mniej znane miejsce na śniadanie – Fajrant, gdzie są super gofry, jadłam tam jedno z lepszych śniadań. Co do wina, mam grupkę przyjaciółek, z którymi cyklicznie chodzimy na wino, więc ten rynek jest nam bardzo znany. Polecam na przykład Czarnego Kota i Cho Po Wino na Jeźcach. Co do obiadu: Zuom Karlos – miejsce niespodzianka, dla kogoś, kto jest w Poznaniu pierwszy raz. Warto też zabrać turystę na kawę, bo Poznań mocno stoi kawą.

I na zakończenie: jakie są przyszłe plany Foodhunterek?

D: Myślę, że podróże i wyjazdy to kierunek, który chcemy kontynuować i który teraz nas najbardziej kręci. To fajne dopełnienie tego, co robimy. Marzeniem są współprace wyjazdowe, żebyśmy mogły gastronomicznie poznawać różne regiony i pokazywać to ludziom z różnych stron. Drugą opcją rozwoju jest контент związany z przepisami. Przepisy mnie bardzo kręcą, uwielbiam kombinować w kuchni. Seria z odwaczaniem dań jedzonych w restauracjach trochę powstała po to, żeby profil poszedł w tym kierunku (wydałyśmy nawet w pandemii własny e-book z przepisami). Chciałabym, żeby te filmy lepiej się „klikały”, bo na razie radzą sobie gorzej, mimo że ich zrobienie zajmuje trzy razy dłużej niż realizacja filmu w restauracji.

O: A kończy się to bałaganem w kuchni i kilkugodzinnym sprzątaniami! Fajnie też, że coraz bardziej rozwijamy na profilu wątek „co robić w Poznaniu” – to się dobrze uzupełnia z resztą. Jeden z naszych filmów ma ponad 500 tysięcy wyświetleń. Pokazujemy, gdzie przyjechać, co zjeść, co robić. A jak zjesz coś dobrego w restauracji, pokażemy ci, jak zrobić to w domu.



K: Myślę, że kierunek rozwoju profilu definiują nasze aktualne zajawki – czy to gotowanie, czy podróże po Polsce, czy w jakimś stopniu sport. Jest naturalne, że pokazujemy to, co nas w danym momencie kręci, niezależnie od liczby wyświetleń. Najważniejsze jest to, że dobrze się tym bawimy, bo to nasze dodatkowe zajęcie, w którym możemy się realizować bez „presji”.

Czyli pełen pakiet! Dziękuję Wam bardzo za rozmowę. Życzę jak najwięcej wyświetleń, jak najmniej bałaganu w kuchni i żeby wszystkie Wasze “foodhunterkowe” marzenia się spełniły.

Kino to coś więcej niż film

Za kulisami kultowego Rialto

Rozmawiała: Julia Lipowicz



Kino Rialto to jedna z najstarszych instytucji kulturalnych w Poznaniu, która działa nieprzerwanie od blisko 90 lat w sercu Jeźyc. Miejsce to jest znane w całym mieście oraz niezmiennie przyciąga repertuarem filmowym i charakterystycznym neonem, świecącym nad ulicą Dąbrowskiego. O tym co słychać w Kinie Rialto, jakie seanse czekają nas w najbliższych miesiącach i dlaczego warto zajrzeć do ich sali kinowej, porozmawiałam z Jolantą Myszką i Piotrem Zakensem, którzy wspólnie prowadzą ten kultowy art house od 23 lat.

Jeźyce bardzo się zmieniły w ostatnich latach, ale Kino Rialto funkcjonuje tu od dekad i niezmiennie jest jednym z najważniejszych punktów na kulturalnej mapie tej dzielnicy i całego Poznania. Jak Kino Rialto odnajduje się w tych realiach? Kim jest jego widz w 2026 roku?

Jolanta Myszka: Na przestrzeni dekad profil kina nieco się zmieniał, ale kierunek pozostaje ten sam. Jesteśmy prywatnym kinem studyjnym, a każdy arthouse musi znaleźć swój własny charakter, który wyróżni go na mapie. Jeżeli chodzi o widownię, to granice dzielnicowe już dawno się zatarły – odwiedzają nas widzowie z całego Poznania, choć mamy też grono stałych bywalców z sąsiedztwa. Jeźyce wokół nas zmieniają się bardzo dynamicznie, ale my jesteśmy tu cały czas jako stały punkt odniesienia dla tej przestrzeni.

Piotr Zakens: Sformułowanie „Art House Jeźyce” idealnie podkreśla naszą lokalność i osadzenie w dzielnicy. Co ciekawe, zdarza się, że odwiedzają nas też osoby spoza Poznania, przejeżdżając do nas nawet 50 czy 70 kilometrów.

J.M.: Na pewno nową grupą odbiorców są osoby pochodzące z Ukrainy – pokazujemy też czasami kino ukraińskie. Choćaby przy okazji filmu „Mashka” Igora Kagramanova pojawili się widzowie z Ukrainy, Poznaniacy, a nawet goście z Wrocławia.

Kino Rialto kojarzy się z kameralnością i analogowym życiem, do którego wiele osób podchodzi teraz z dużą nostalgią. Czy widać wśród widzów fascynację przeszłością, dawnymi filmami, retrospektywami?

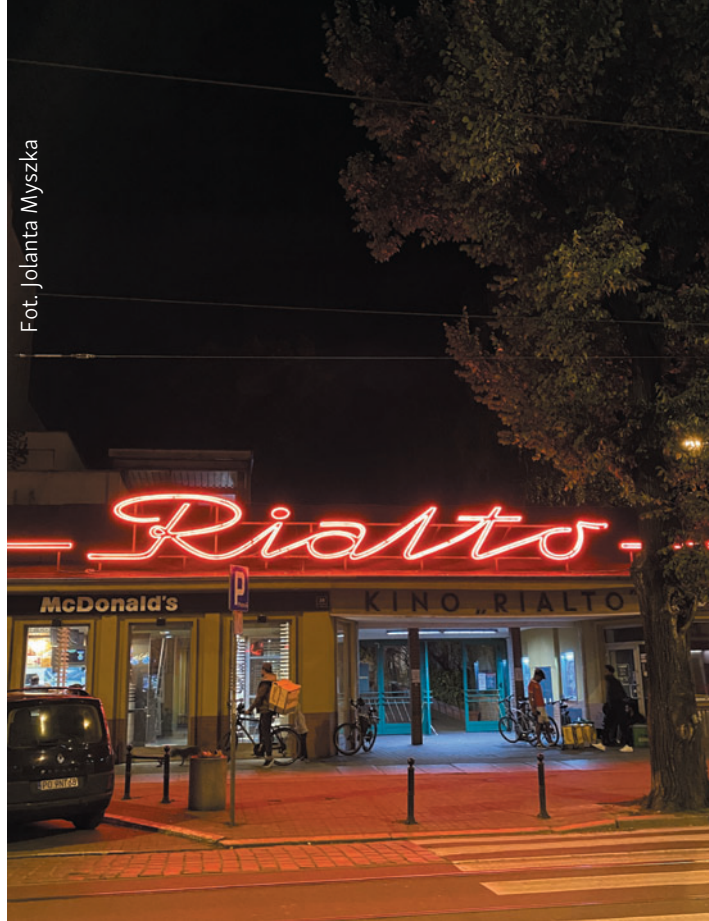
J.M.: Zdecydowanie tak. Nie tylko staramy się, ale też jako kino studyjne, musimy bacznie obserwować takie trendy. Rynek dystrybucyjny bardzo się zmienił i widzimy dużą potrzebę nie tylko powrotu do klasyki, ale też celebrowania samego doświadczenia wyjścia do kina. Jest to trend ogólnoeuropejski, a może i światowy. Dziś stare tytuły są odrestaurowane cyfrowo i wyglądają dużo świeżej. Choć na platformach typu VOD można zobaczyć już prawie wszystko, kino ma swój niezastąpiony urok – ważne jest bycie „tu i teraz”, bez reklam czy rozpraszaczy.

P.Z.: Moda na klasykę faktycznie mocno się rozprzestrzeniła w ostatnich latach i jest obecna również u nas. Osobiście uważam jednak, że kino powinno żyć przede wszystkim bieżącym repertuarem – nie jest ani telewizją, ani streamingiem.

J.M.: Bardzo bym chciała, żeby kina studyjne nie kojarzyły się wyłącznie z historią, bo przecież to one są pierwszym polem eksploatacji najnowszych premier. Sam koncept wspólnego bycia w grupie i przeżywania emocji razem jest nam niesamowicie potrzebny. Mam wrażenie, że jako społeczność nie mamy teraz wielu okazji do takiego doświadczenia, więc jest to tym bardziej cenne.

Na co warto z kolei czekać w najbliższych miesiącach? Na jakie filmowe premiery warto wybrać się do Rialto latem lub jesienią?

J.M.: Lato jest momentem oddechu – w kinie to tradycyjnie czas na lżejszy, wakacyjny repertuar. Dla najmłodszych przygotowujemy kolejną edycję autorskiego cyklu „Wakacje w Rialto”. Już teraz zapraszamy na długo wyczekiwany film „Ojczyzna” Pawła Pawlikowskiego, to dobry przykład tzw. kina środka. Na



początku lata gramy też „Backrooms. Bez wyjścia” (reż. Kane Parsons) – to film, którym interesują się młodzi na całym świecie i jesteśmy ciekawi jego odbioru w Polsce. Na pewno będziemy też grać w lipcu „Odyseję” Christophera Nolana, która łączy antyk ze współczesnością. To trudny tekst źródłowo, więc ciekawa jestem współczesnej interpretacji i tego czy zainteresuje ona młodego widza. Warto też zwrócić uwagę na nasze coroczne sierpniowe wydarzenie jakim jest retransmisja letniego koncertu André Rieu – bilety są już dostępne, więc serdecznie zapraszamy. Jesienią z kolei hitem będzie oczywiście nowa ekranizacja „Lalki”.

P.Z.: Na przełomie sierpnia i września pojawi się też kilka pozycji wartych uwagi. Na pewno jednym z ciekawszych filmów będzie nowy film Pedro Almodóvara „Gorzkie święta” – to film, który mieliśmy już okazję zobaczyć na festiwalu w Cannes – Almodóvar powraca do swoich korzeni, więc jest na co czekać. Na początku września premierę będzie miał z kolei film „Niebo

nad Normandią” (reż. Anthony Maras) to film niby wojenny, ale też świetny portret psychologiczny o tym, w jaki sposób podejmujemy decyzje. Przewidujemy, że ten tytuł może przyciągnąć szeroką publiczność.

J.M.: To prawda, to jest film bardzo dobrze zbudowany, oczywiście z hollywoodzką śmietanką w obsadzie. Z kolei na początek lata myślę, że idealna będzie komedia „Zaproszenie” (reż. Olivia Wilde) – fabuła wydaje się być prosta, ale film zaskakuje – podczas kolacji dwóch par małżeńskich pada zaskakujące zaproszenie... Nie będę więcej zdradzać.

P.Z.: Jeśli ktoś niekoniecznie lubi filmy hollywoodzkie, to polecam też „O czym sobie nie mówimy” (reż. Gabriele Muccino), akcja toczy się w Tangerze, a film porusza takie wątki jak miłość, zdrada, jest to współczesna przypowieść.

Rialto to nie tylko premiery kinowe, to także cykle filmowe (i nie tylko), które przyciągają sporo zainteresowanych. Jakie cykle cieszą się największą popularnością?

J.M.: Właściwie każdy dzień tygodnia poświęcamy u nas innej filmowej energii – w weekendy królują pokazy przedpremierowe oraz koncerty. Sporą popularnością cieszy się nasz cykl „Wielcy malarze”, a także „Kultowe środy”, które rozwinęły się z „Poniedziałków z klasyką”.

P.Z.: To prawda, nasz kalendarz pęka w szwach: poniedziałki to klasyka kina, we wtorki zapraszamy na DKF (Dyskusyjny Klub Filmowy). W czwartki można dostać bilet w ramach cyklu „Tanie czwartki”, ale to także nasze spotkania z podróżnikami. To wydarzenia niefilmowe, które cieszą się sporym zainteresowaniem. Mamy dwa takie cykle: „Spotkania z podróżnikami”, gdzie goszczą podróżnicy opowiadający o dzikich zakątkach globu oraz „Ludzie Gór”, dedykowany wyłącznie himalaizmowi, na którym regularnie goszczą wybitni polscy wspinacze.

J.M.: Na pewno dumą Rialto jest nasz Filmowy Klub Seniora, który organizujemy już od 18 lat. Mamy wierną grupę stałych bywalców, ale wciąż mogą dołączać nowe osoby. Formuła jest prosta: oglądamy nowości z bieżącego repertuaru, a po seansie zapraszamy na kawę, herbatę i rozmowy. Zależy nam, aby nasi seniorzy byli na bieżąco z kulturą i mogli o niej dysku-



tować z bliskimi, także międzypokoleniowo. Mamy też skryniczkę, w której seniorzy mogą wrzucać swoje propozycje filmów, które chcieliby obejrzeć – to dla nas znak, co ich interesuje najbardziej.

Na koniec pytanie o Państwa ulubieńców. Od jakiegoś czasu internetowym hitem jest platforma Letterboxd – międzynarodowa platforma, na której ocenia się filmy, a jej cechą charakterystyczną jest wybór czterech ulubionych filmów użytkownika. Na zakończenie muszę zapytać: jakie są Państwa absolutnie ulubione tytuły wszech czasów?

J.M.: Mam tyle ukochanych filmów, że nie potrafię wybrać tylko czterech – wszystkie traktuję jak własne dzieci, chyba nie podejmę się tego zadania. Jeśli jednak miałabym wskazać dwa wyjątkowe tytuły bliskie mojemu sercu, byłyby to „Moja ulubiona pora roku” André Téchiné z Catherine Deneuve w obsadzie oraz „Wszystkie poranki świata” w reżyserii Alaina Corneau.

P.Z.: Ja mam na pewno nieco prościej, bo już kiedyś stworzyłem swoje prywatne zestawienie Top 10, choć te tytuły cały czas ewoluują. Lubię kino psychologiczne, które w konkretny sposób opowiada o relacjach i o tym, jak dojrzewamy. Mam dwa takie tytuły: „Zabić drozda” Roberta Mulligana oraz „Vicky Cristina Barcelona” Woody’ego Allena. Ponieważ wychowałem się na Kinie Nowej Przygody, na mojej liście niezmiennie znajdują się przygody Indiany Jonesa, chyba postawiłbym jednak w szczególności na „Poszukiwaczy zaginionej arki”. Są też takie filmy, które lubię, ale naprawdę mocno się zestarzały, np. „Willow” (reż. Ron Howard).

J.M.: To prawda, z niektórymi filmami bywa jak z ulubionymi wypiekami naszej babci – czujemy do nich ogromną nostalgię, ale powrót do nich po latach nie zawsze smakuje tak samo.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

Galar przywraca Poznaniakom rzekę

Współczesna interpretacja rzecznej tradycji – już na Warcie

Tekst: Natalia Bednarz



Waży sześć ton, ma czterdzieści metrów kwadratowych powierzchni i wygląda, jakby wypłynął prosto z dawnych rycin przedstawiających życie nad rzeką. Galar Poznański, jedna z najnowszych atrakcji na Warcie, od kilku miesięcy przyciąga spojrzenia spacerowiczów, rowerzystów i wszystkich, którzy zatrzymują się na nadrzecznych bulwarach. To coś więcej niż łódź. To ruchoma przestrzeń opowieści, refleksji i wspólnego działania – osadzona w tradycji flisackiej, a jednocześnie otwarta na nowe idee i współczesny miejski kontekst.

Na pierwszy rzut oka można pomyśleć, że to rekonstrukcja muzealna. Smukła sylwetka, otwarty pokład, płaskie dno i zadarte końce łodzi przywołują skojarzenia z dawnymi jednostkami, które przez stulecia pływały po polskich rzekach. W rzeczywistości to współczesna interpretacja tradycyjnej łodzi rzecznej, zakorzeniona w historii rzemiosła i kultury społeczności nad Wartą.

W Poznaniu, który od lat próbuje na nowo odkrywać swoją relację z rzeką, pojawienie się galara jest czymś więcej niż turystyczną ciekawostką. To przypomnienie, że Warta może być nie tylko tłem do spaceru, ale też miejscem spotkań, odpoczynku, pracy, twórczości i codziennego życia.

Łódź z dawną duszą

Dawne galary służyły głównie do transportu zboża, soli i innych towarów. Pływały z nurtem rzeki, a po dotarciu do celu często je rozbierano, odzyskując drewno na opał lub inne potrzeby. Ich największą zaletą było małe zanurzenie. Dzięki płaskiemu dnu mogły dopływać tam, gdzie większe jednostki nie miały szans.

Galar Poznański nawiązuje do tej tradycji kształtem i sposobem poruszania się po rzece, ale nie jest całkowicie drewniany. To świadomy wybór. Drewno wymagałoby stałej impregnacji, konserwacji i wielu godzin dodatkowej pracy. Dlatego współczesna jednostka ma stalowy spód, a z dawnych galarów zachowała przede wszystkim to, co najważniejsze: płaskie dno, otwarty pokład i charakterystyczną linię łodzi.

W Poznaniu ta konstrukcja okazuje się szczególnie praktyczna.

Pasja, która przyszła z rzeki

Za Galar Poznański odpowiada Maciej. Nie wychował się w rodzinie żeglarzy, nie spędzał wakacji w marinach i nie należał do środowiska wodniaków. Pochodzi spod Krotoszyna, gdzie żadnej rzeki nie ma. Wszystko zmieniło się, gdy trafił na Statek Kultury, projekt związany z rzekami, sztuknictwem i życiem nad wodą. Tam poznał ludzi, którzy budują łodzie, pracują na rzece i przywracają pamięć o rzeczonym rzemiośle. Maciej szybko wsiąknął w ten świat.

Gdy poznał swoją żonę Kasię, śpiewaczkę poznańskiego Teatru Wielkiego, i zapadła decyzja o zamieszkaniu w jej rodzinnym mieście, postanowił przenieść rzeczną pasję do Poznania. Skoro w mieście nie było galara, trzeba było go zbudować i przyląnąć nim na Wartę.

Łódź powstawała w Cigacicach, miejscowości mocno związanej z rzeczną tradycją. Maciej i Kasia pracowali tam pod okiem Piotra Włocha – doświadczonego wodniaka i konstruktora łodzi. To on połączył dawny kształt galara ze współczesnymi rozwiązaniami konstrukcyjnymi. W każdej wolnej chwili jeździli do Cigacic, aby własnymi siłami i z pomocą przyjaciół budować jednostkę. Po miesiącach pracy Galar Poznański był gotów, by ruszyć w drogę. Podróż do stolicy Wielkopolski zajęła tydzień.

Łodzie jak dzieci

Pierwszy sezon był próbą. Galar dopiero co przypłynął z Cigacic, w rodzinie Macieja i Kasi pojawiło się dziecko, a wszystko



Fot. sofimood photograph poznan

działo się szybko i trochę „na wariackich papierach”. Najważniejsze było jednak to, że można było usiąść na pokładzie i popłynąć.

– To jest takie nasze trzecie dziecko w sumie – śmieje się Maciej i dodaje: – Dużo się przez miniony rok zmieniło. Fajnie sobie co chwilę tutaj pomajsterkować i widzieć, jak to się rozwija. Jak już tutaj zasiadasz, to nie patrzysz, jak tutaj jest, tylko patrzysz, co jest poza. Co się dzieje na rzece. Patrzysz dużo, dużo szerzej.

Maciej i Kasia dużą część wspólnego życia spędzają na wodzie. Rzeką jest też naturalnym światem ich dwójki dzieci. Na łodzi lepiej się śpi, bo delikatnie buja. Światło odbija się w wodzie jak w lustrze. Ciągłe jest co obserwować, słuchać i chłonać.

Oprócz galara mają też prywatną łódkę o nazwie Pogromca Uklejek. Odkupili ją od pana Andrzeja, ponad siedemdziesięcioletniego pasjonata poznanego w Kostrzynie nad Odrą. Podczas pandemii sprowadził łódkę z Holandii i dopieścił każdy jej element. Rok później Maciej i Kasia zobaczyli tę samą jednostkę w Poznaniu. Okazało się, że przez niski stan wody pan Andrzej rozważał przeniesienie jej dźwigiem na jezioro i sprzedaż. Decyzja zapadła szybko: Pogromca Uklejek został w Poznaniu.

– Mieści się tu wszystko, co potrzebne do życia. Łódka ma pięćdziesiąt lat, w środku drewno tekowe, wszystko pięknie po-

robione, świeże, nic nie jest przegnite. Silnik jest nie do zajechania – opowiada Maciej.

Problemem pozostaje jednak Warta.

– To, co powstrzymuje mnie i Kasię, by pływać więcej, to niski stan wody. Od dwóch lat prawie tą łódką nie płyną. O Warcie wodniacy mówią, że jest bardziej jak potok górski: płytka i pełna kamieni. Bezpiecznie można pływać w zasadzie tylko pod koniec zimy i na początku wiosny. Stwierdziliśmy, że na Wartę potrzebna jest łódź płaskodenna. Taka, której nie będzie ograniczał stan wody. Taka, jak galar właśnie – mówi Maciej.

Pogromca Uklejek ma około 90 centymetrów zanurzenia, więc potrzebuje mniej więcej 180 centymetrów wody, by płynąć bezpiecznie. Galar zanurza się na około 40 centymetrów. Dlatego na Warcie, przy coraz niższych stanach wody, płaskodenna łódź okazuje się nie tylko ciekawostką, ale też bardzo rozsądnym wyborem.

Warta do odzyskania

Z pokładu galara Poznań wygląda inaczej. Mosty, bulwary, zieleń i zabudowa układają się w inną opowieść niż ta znana z chodnika czy roweru. Widać też, jak wiele miasta mogłoby jeszcze zrobić ze swoją rzeką.



Fot. sofimood photograph poznan

Maciej szczególnie żałuje zamulonego Cybińskiego kanału Ulgi. Jego zdaniem, gdyby udało się ją udrożnić, Poznań mógłby zyskać wyjątkową pętlę wodną z Mostu Rocha na Szeląg.

– Kiedyś Poznań płynął cały. A potem zasypaliśmy koryto Warty na Chwaliszewie. Tak bardzo o tych rzekach zapomnieliśmy, tak bardzo je z głowy wygoniliśmy, że masakra. Gdyby tylko odkopać Kanał Ulgi (sztuczne przeciwpowodziowe koryto o długości 1,4 km - przyp. red.), zyskalibyśmy wspaniałą, jedyną w swoim rodzaju atrakcję – mówi.

W Poznaniu wciąż brakuje portu, infrastruktury i codziennego wodniackiego życia. Dlatego każde spotkanie z inną łodzią na Warcie jest małym wydarzeniem.

– Z jednej strony jest intymnie i wyjątkowo, ale jak płynę i widzę inną łódź, to jest radość: o kurde, jednak jeszcze ktoś pływa! – śmieje się Maciej.

Pokład do spotkań

Dziś Galar Poznański jest jednocześnie łodzią, atrakcją i nietypową przestrzenią miejską. Na jego pokładzie odbywały się już kameralne koncerty, spotkania artystyczne, malowanie przy sztalugach, imprezy okolicznościowe i rodzinne rejsy. Na wodzie wszystko zyskuje inny rytm. Muzyka niesie się inaczej, rozmowy zwalniają, a dobrze znane miasto nagle pokazuje nieznaną twarz. Maciej i Kasia odnajdują tu spokój w codziennym pędzie i - jak mówią – nigdy się na łodzi nie nudzą.

W sezonie letnim galar pływa zwykle od piątku, a czasem już od czwartku, do niedzieli. Można zarezerwować udział w regularnym, godzinnym rejsie albo po prostu przyjść i wsiąść na pokład, jeśli są wolne miejsca.

Galar Poznański można też wynająć na prywatny rejs trwający od jednej do trzech godzin. To sceneria wprost stworzona na urodziny, spotkanie rodzinne, wydarzenie firmowe, kameralny koncert albo spokojne popołudnie na rzece. Na pokładzie mieści się do dwunastu osób. Jest stół, miejsca do siedzenia, można wyjść na dziób, opalać się, tańczyć albo po prostu patrzeć na miasto z wody. Galar nie ma zaplecza gastronomicznego, więc każdy może zabrać własny koszyk z jedzeniem i na-



Fot. sofimood photograph poznan

pojami. Dwugodzinny rejs kosztuje 1000 zł, bez względu na liczbę osób.

Największą atrakcją nie jest jednak sama łódź. Jest nią możliwość zobaczenia Poznania z perspektywy, o której wielu mieszkańców zdążyło zapomnieć. Nigdy nie wiadomo, kiedy samemu wpadnie się w wodny świat – dosłownie i w przenośni.

Więcej informacji na stronie: galarpoznanski.pl



Co robi Poznań w Michigan?

Pyry, bimber i polscy drwale w Ameryce

Tekst: Dominika Majewska

Wpisujesz w Google Maps „Posen” i zamiast Starego Rynku wyskakuje mapa stanu Michigan. Las, pola, jezioro Huron gdzieś na horyzoncie. Pośrodku tego wszystkiego maleńka wioska licząca dziś nieco ponad 270 mieszkańców. Jeden kościół i mały przydrożny bar z jedzeniem, w którym znajdują się wszyscy. Na tablicy przy wjeździe widnieje prosty napis: Posen. Nie jest to błąd, takie miejsce naprawdę istnieje w Stanach Zjednoczonych. Nazwano je Posenem, czyli Poznaniem, i od ponad 150 lat robi wszystko, żeby być godne tej nazwy.

Wszystko zaczęło się w 1870 roku, gdy w zaborze pruskim nasiłała się germanizacja, a polska ziemia coraz częściej trafiała w ręce niemieckich kolonistów. Do wiosek w okolicach Poznania docierały listy od tych, którym udało się już dopłynąć do Ameryki. Są pełne zachwyty. Napisane jest w nich o ziemiach bez końca i o tym, że człowiek może tu sam decydować o swoim losie. Jeden drobny szczegół jest w tych listach jednak nieobecny. Mianowicie fakt, że ziemia w północnym Michigan jest gęsto pokryta kamieniami i głazami, których usunięcie z pól zajmuje tygodnie ciężkiej pracy. Nowi przybysze przekonywali się o tym już na miejscu, kiedy powrót do Polski był praktycznie niemożliwy. I właśnie wtedy ktoś zauważa, że na tej skalistej glebie jest w stanie wyrosnąć jedno – ziemniak. Historia Posen zaczyna się od pyry i przez następne dekady od niej nie odchodzi.

Pierwsi osadnicy przyszlizli tu jako robotnicy do wyrębu lasów, które zasilały rozrastające się amerykańskie wschodnie wybrzeże. Kiedy drzewa się skończyły, obozy drwali zlikwidowano, ale część osadników zdecydowała się zostać na stałe.

Budowali domy, stodoły i powoli tworzyli zżyłą społeczność. Niezwykle ważną rolę w podtrzymywaniu ducha odgrywał jezuita, ojciec Szulak, który od 1874 roku odwiedzał Posen dwa razy w roku. W 1879 roku stanął tu pierwszy kościół pod wezwaniem świętego Kazimierza, patrona Polski. T Do 1875 roku Posen miał własny urząd pocztowy. Z czasem doprowadzono kolej i zatrudniono telegrafistę. W 1907 roku miejscowość uzyskała oficjalny status wsi. I tak, krok po kroku, w środku lasu wyrósł kawałek Wielkopolski.

Nie samym kościołem i ziemniakiem żył jednak Posen. Życie gospodarcze okolicy tętniło również wokół rzeki Thunder Bay, gdzie do dziś stoi zabytkowy Elowsky Grist Mill. Jego założyciel, Michael Elowsky, po przyjeździe z Europy i wyuczeniu się fachu młynarza, osiedlił się niedaleko Posen. Z czasem powstał tam spory kompleks produkcyjny. Mielono mąkę, cięto gonty, strugano deski, a okoliczni farmerzy z Posen, Metz i Krakow (będącego zresztą kolejną typowo polską osadą w najbliższym sąsiedztwie) przyjeżdżali z ziarnem i drewnem. Największy przełom nastąpił na początku XX wieku, gdy syn Michaela – Emil, zapoznał się z Thomasem Edisonem i wspólnie z nim zbudowali wodny generator i zainstalowali w młynie światło. Oświetlenie elektryczne rozwiązało poważny problem: przy mieleniu zboża unosi się wybuchowy pył, przez co zwykłe lampy olejowe stanowiły śmiertelne zagrożenie. Dzięki elektryczności młyn mógł bezpiecznie pracować całą dobę i stał się pierwszym obiektem z własnym prądem w całym hrabstwie Presque Isle, wyprzedzając okoliczne miasta o dobre kilkanaście lat. Elowsky Grist Mill pracował aż do października 1963 roku, po czym przez lata stał opuszczony. Niszczał, aż pojawił się pomysł, żeby Ford Museum wykupiło go i przewiozło do Detroit. W końcu kupił go i wyremontował lokalny mieszkaniec, który postanowił, że historia młyna zostanie w Posen, a nie wyjedzie stąd do muzeum w innym mieście. Dziś to Hemlock Hills on Mill Pond – miejsce na imprezy, wakacyjne noclegi i letnie wycieczki z przewodnikiem, gdzie stary sprzęt młyński stoi na swoim miejscu, jakby czas się zatrzymał.

Losy osady nie zawsze były jednak spokojne, a całą historię Posen mógł przedwcześnie zakończyć jeden tragiczny dzień.



fot. J. J. Prats

15 października 1908 roku, wczesnym rankiem, po długiej suszy i przy silnym wietrze, niedaleko Posen wybuchł wielki pożar lasu. Suche sosny paliły się jak zapałki. W ciągu kilku godzin ogień przeszedł 55 kilometrów i dotarł do jeziora Huron, trawiąc po drodze wioskę Metz, oddaloną zaledwie 8 kilometrów od Posen. Kolej Detroit & Mackinac wysłała na miejsce pociąg ratunkowy, który miał ewakuować ludzi. Wsiadło do niego około czterdziestu mieszkańców – głównie kobiety z małymi dziećmi, podczas gdy mężczyźni zostali na miejscu, by walczyć z żywiołem. Pociąg ruszył w stronę bezpiecznego Posen, ale 3 kilometry od Metz, tory były już otoczone płonącymi stosami drewna. Żar okazał się tak potężny, że stalowe szyny wygięły się, a pociąg wykoleił. Wagon, w którym schroniły się kobiety z dziećmi, zamienił się w śmiertelną pułapkę. Szesnaście osób zginęło w płomieniach, w tym dziewięcioro dzieci. Łącznie pożar pochłonął wtedy 37 ofiar, a ponad 700 ludzi zostało bez dachu nad głową. Posen ucierpiało bardzo mocno. Miejscowy ksiądz zgłaszał, że z 350 rodzin w jego parafii zostało bez niczego. Wieś jednak nie zniknęła z mapy, zdołała się własnymi siła-

mi odbudować, a niedaleko Posen do dziś stoi Metz Fire Trailside Historical Park z tablicą upamiętniającą tamtą katastrofę.

W historii Posen nie brakuje też opowieści zdecydowanie bardziej awanturniczych i pełnych humoru, jak choćby te z szalonych lat dwudziestych XX wieku, gdy w Stanach Zjednoczonych nastała era prohibicji, a produkcja i handel alkoholem stały się nielegalne. Posen zyskało wtedy w całym regionie słynny przydomek „Moonshine Center”, czyli Centrum Bimbrownictwa. Polscy rolnicy, którzy od pokoleń znali domowe sposoby na przetwarzanie ziemniaków, szybko odkryli, że nielegalna produkcja alkoholu to nie tylko podtrzymanie tradycji, ale i świetny zarobek. Funkcjonariusze federalni tropiący nielegalne destylarnie odwiedzali Posen wielokrotnie, ale najczęściej wracali do miast z niczym, bo sąsiedzka współpraca i solidarność działały bez zarzutu. Dziś nikt już w Posen oficjalnie bimbru nie produkuje, ale pamięć o tamtych czasach wciąż żyje przy biesiadnych stołach.



fot. J. J. Prats



fot. J. J. Prats

Z ziemniaka, który dawniej trafiał głównie do bimbru i na talerze, narodziła się też zupełnie inna tradycja, będąca dziś wizytówką regionu. W każdy pierwszy weekend po amerykańskim Święcie Pracy, przypadającym na początku września, ta cicha na co dzień miejscowość przeżywa prawdziwy najazd gości. Przez trzy festiwalowe dni przez Posen przewija się kilkadziesiąt tysięcy turystów z całego świata. Posen Potato Festival odbywa się nieprzerwanie od 1952 roku i jest największym wydarzeniem w całym północno-wschodnim Michigan. Zaczęło się skromnie. Rolnicy po żniwach ziemniaczanych zbierali się, żeby porozmawiać o zbiorach i cenach na nadchodzący sezon, ktoś przyniósł akordeon, ktoś kielbasę a jeszcze ktoś inny słynny bimber. Rok po roku te spotkania rosły, aż zmieniły się w dzisiejszy festiwal.

W piątek wieczorem zaczyna grać polka – zespół wchodzi na scenę w pawilonie w centrum miasteczka i porywa tłumy do

tańca do późnych godzin nocnych. W sobotę odbywa się degustacja placków ziemniaczanych, do której kolejki nie maleją od rana do wieczora. Swoje stoiska prowadzą weterani wojenni, Ryccerze Kolumba i miejscowe koła gospodyń. To również jedyny moment w roku, aby od środka zwiedzić odrestaurowany Ełowsky Grist Mill, otwierany specjalnie na czas festiwalu. W niedzielę przez główną ulicę przechodzi parada, w której bierze udział wybrana wcześniej Miss Posen. Ten uroczysty dzień otwiera jednak inne unikalne wydarzenie – Polka Mass w kościele świętego Kazimierza. To uroczysta msza święta śpiewana z polską muzyką ludową, gdzie akordeon gra do łacińskich modlitw.

Festiwal we wrześniu to jednak nie jedyna okazja, żeby w Posen zatańczyć polkę. Co roku, na przełomie lutego i marca, miejscowa Izba Handlowa organizuje Zapusty Dinner Dance – wieczór, który nawiązuje wprost do polskich ostatków przed Wielkim Postem. W sali wiejskiej od zmierzchu przygrywa za-



fot. J. J. Prats

proszona kapela, podaje się kolację, a dochód z biletów co roku idzie na remont tego samego Polka Pavilion, który kilka miesięcy później przyjmie tysiące gości podczas Potato Festival. To właśnie w trakcie tych hucznych imprez najlepiej widać, jak silne więzi łączą Posen z Poznaniem.

Pięknym tego dowodem było spotkanie z 9 września 2001 roku, kiedy to przy wjeździe do miasteczka stanęli ramię w ramię tutejsi mieszkańcy oraz oficjalna delegacja z Wielkopolski. Wspólnie odsłanili kamienną tablicę, ufundowaną przez Gazetę Wyborczą, z napisem po angielsku i po polsku: „Dla upamiętnienia naszych wspólnych przodków, którzy w 1870 roku wyruszyli z okolic miasta Poznań w Polsce i założyli tę miejscowość

w Nowym Świecie.” Tablica jest wpisana do rejestru Michigan Historical Commission. Fotografują się przy niej turyści, ale przede wszystkim osoby, których pradiadkowie przepłynęli Atlantyk i wylądowali w lesie pełnym kamieni.

Ta więź nie jest tylko symboliczna. Według spisu z 2010 roku 78,8 procent mieszkańców wsi podawało polskie pochodzenie, a w całej gminie wiejskiej odsetek wynosił 65,4 procent. Od przyjazdu pierwszych imigrantów minęło już ponad pięć pokoleń, a większość mieszkańców wciąż mówiła o sobie: jestem Polakiem. To nie jest tożsamość na pokaz dla turystów. Co najważniejsze, nie ma w tym komercji czy marketingu pod publiczkę. W Posen próżno szukać kiczowatych sklepików z pa-



fot. J. J. Prats

miątkami, plastikowych orzełków czy patriotycznych koszulek. Polskie korzenie widać w nazwiskach na skrzynkach pocztowych: Nowicki, Styma, Smigelski, Kloskowski, Zakshesky. Widać je w zapachach unoszących się z domowych kuchni, modlitwie i w tańcu. Kiedy na festiwalu gra akordeon, starsi wstają od razu, bo to po prostu ich muzyka i życie. Kościół świętego Kazimierza działa nieprzerwanie od 1879 roku. Budynek jest inny niż ten pierwszy, z bali, ale parafia ta sama. Co roku w niedzielę festiwalową przychodzą tam te same rodziny, żeby zaśpiewać to, co śpiewali ich dziadkowie.

I trudno się nie zastanawiać: jak to możliwe, że wioska mniejsza niż niejedno osiedle w Poznaniu wciąż ma w sobie tyle polskości? Jak to się stało, że nie zniszczył jej pożar, nie złamała prohibicja i nie rozmył czas? Odpowiedź jest prawdopodobnie prostsza, niż się wydaje. Polacy, którzy przyjechali tu półtora wieku temu, nie chcieli stać się Amerykanami. Chcieli wreszcie być Polakami – na własnej ziemi, z własnym języku, we własnej świątyni.

I tego im nikt nie zabrał. Posen, Michigan, w środku zostało jak najbardziej nasze.



Wyjść poza utarte schematy

Sukces pierwszej odsłony Estrada Stage Pop Up

Czasowe zamknięcie Sceny na Piętrze z powodu modernizacji stało się dla Estrady Poznańskiej impulsem do poszukiwania nowej formuły koncertowej i sprawdzenia, jak muzyka funkcjonuje poza tradycyjną sceną.

Cykl koncertowy Estrada Stage Pop Up od początku unikał przypadkowości. Ideą projektu było poszukiwanie miejsc, które wchodzą w dialog z estetyką konkretnego artysty i stają się jej naturalnym przedłużeniem. Wiosenna odsłona cyklu zamieniła miasto w sieć tymczasowych scen. Galeria sztuki, neobistro, pracownia fotograficzna czy dawny zakład metalowy nie były jedynie tłem – architektura, atmosfera i historia każdego z tych miejsc współtworzyły doświadczenie koncertu. Przez kilka miesięcy projekt prowadził publiczność przez cztery przestrzenie Poznania i cztery odmienne muzyczne światy, pokazując, że sposób odbioru muzyki zmienia się wraz z otoczeniem.

– *Zamknięcie Sceny na Piętrze potraktowaliśmy nie jako ograniczenie, ale jako szansę na wyjście poza utarte schematy. Chcieliśmy sprawdzić, jak muzyka działa w przestrzeniach, które nie są do niej przeznaczone i jak publiczność reaguje na kameralne, nieoczywiste sytuacje koncertowe. Reakcje uczestników pokazały nam, że warto rozwijać ten kierunek* – mówi Jadwiga Troczyńska, Zastępczyni Dyrektorki Estrady Poznańskiej.

Cztery przystanki, cztery odmienne światy

Pierwszy koncert odbył się w Galerii u Jezuitów. Cykl otworzył Product May Contain – trio, które w ostatnich latach stało się jednym z najciekawszych młodych zespołów na polskiej scenie jazzowej. Muzycy płynnie łączą jazz, ambient, elektronikę i inspiracje muzyką różnych kultur, tworząc własny język oparty bardziej na ciekawości niż gatunkowych granicach. Występ był okazją do spotkania z materiałem z debiutanckiego albumu „Playgrounds”, który przyniósł zespołowi kolejne świetne re-



Product May Contain, fot. Malwina Łubieńska

cenzie po sukcesach na festiwalu Jazz nad Odrą czy koncertach w NOSPR. Niedługo po poznańskim koncercie trio zdobyło statuetkę Fryderyka 2026 w kategorii Fonograficzny Debiut Roku – Jazz. Ten sukces tylko potwierdził, że program Estrada Stage Pop Up od samego początku bezbłędnie wyłapuje najbardziej intrygujące zjawiska na polskiej scenie.



Ola Budzyńska, fot. M. Zakrzewski

Kilka tygodni później publiczność spotkała się w ŁYKu przy ul. Garbary. W postindustrialnej przestrzeni wystąpiła Ola Budzyńska – wokalistka, altowiolistka i producentka, która w swojej twórczości łączy elektronikę z analogowymi brzmieniami fortepianu i altówki. Jej koncert był jednym z najbardziej intymnych momentów całego cyklu. Bliskość artystki i publiczności, ograniczona liczba miejsc oraz charakter przestrzeni stworzyły warunki do wyjątkowo skupionego słuchania.

Trzecim przystankiem była Łazęga Poznańska – miejsce ukryte w podwórzu przy ulicy Święty Marcin. To właśnie tam wystąpił Jakub Ziolek ze swoim projektem Stara Rzeka. Jeden z najważniejszych przedstawicieli polskiej muzyki niezależnej wrócił do solowej działalności po kilkuletniej przerwie, prezentując materiał z najnowszego albumu „Wynoś się z mojego domu”. Dla wielu uczestników był to koncert szczególny: oparty na skupieniu, repetycji i długich formach, które w kameralnej przestrzeni Łazęgi nabierały dodatkowej intensywności.

Wiosenną odsłonę cyklu zamknął koncert Ninja Episkopat przy ulicy Wronieckiej. Ukryta za podwórzem przestrzeń dawnego zakładu metalowego stała się sceną dla jednego z najgłośniejszych i najbardziej energetycznych wydarzeń tej edycji. Trio łączące improwizację, elektronikę, punkową energię i jazzową swobodę potwierdziło, że współczesna muzyka eksperymentalna może być jednocześnie wymagająca i bezpośrednia. Nieprzypadkowo zespół bywa określany jako „Slipknot polskiego jazzu”.

– *Zależało nam na różnorodności. Chcieliśmy pokazać, że wspólnym mianownikiem nie musi być gatunek, ale sposób słuchania. Każdy z koncertów był inny, każda lokalizacja opowiadała inną historię, ale wszystkie wydarzenia łączyło poczucie uczestnictwa w czymś niepowtarzalnym* – podkreśla Marta Duszyńska, producentka projektu.

Co przyniesie jesień?

Jednym z najważniejszych elementów Estrada Stage Pop Up okazały się właśnie miejsca, które wpływały na odbiór muzyki i budowały własny kontekst dla koncertu. Cykl stał się zaproszeniem do odkrywania miasta z innej perspektywy, a frekwencja pokazała, że publiczność chętnie przyjęła tę propozycję. Kameralny charakter wydarzeń sprawiał, że liczba miejsc była ograniczona, a bilety na kolejne koncerty regularnie znikają z puli jeszcze przed dniem wydarzenia.

To jednak nie koniec. Cykl Estrada Stage Pop Up będzie kontynuowany jesienią w nowych lokalizacjach i z kolejnymi artystami. Tym razem w programie znajdą się zarówno projekty czerpiące z obserwacji natury i muzyki improwizowanej, jak



i twórcy działający na styku elektroniki, kompozycji współczesnej oraz alternatywy. Nie zabraknie również zespołu, którego koncertowa energia od lat wymyka się gatunkowym podziałom i przyciąga publiczność, która daleko wykracza poza środowisko muzyki gitarowej. Znow będziemy szukać przestrzeni, które nie kojarzą się z działalnością koncertową, ale potrafią nadać muzyce nowy kontekst.

– Wiosenna odsłona pokazała nam, że publiczność jest gotowa podążać za muzyką również poza oczywiste miejsca i schematy. Jesienią chcemy ten pomysł rozwijać dalej. Mamy już kil-

ka lokalizacji i artystów, o których sami nie możemy przestać myśleć, ale na ich ogłoszenie przyjdzie jeszcze czas. Mogę tylko powiedzieć, że znow będzie bardzo różnorodnie – od projektów skupionych na uważnym słuchaniu po koncerty, po których trudno wrócić do domu z poziomem energii sprzed wejścia na salę – mówi Paulina Król, producentka projektu.

Bo choć pierwsza odsłona Estrada Stage Pop Up dobiegła końca, sama idea pozostaje niezmienna: wychodzić do publiczności, traktować miasto jak scenę i szukać miejsc, w których muzyka może zabrzmieć inaczej.

Płacz na parkiecie, czyli polscy spadkobiercy post-funku

Madame Affair

Rozmawiała: **Zofia Myślicka**



Czy da się połączyć szalony taniec na parkiecie z tekstami o lękach cyfrowego świata i algorytmach? Zespół Madame Affair udowadnia, że tak. Ich debiutancki krążek „Post Funk”, który mamy przyjemność patronować, to porywający, zgrany w stu procentach na żywo miks nu-disco, house’u i dance punku, który wybiera głębszą relację z słuchaczem. Na finiszu trasy koncertowej rozmawiamy o buncie przeciwko współczesnemu marazmowi, literackich inspiracjach i sile nudy, z której rodzi się najlepsza muzyka.

Jesteście świeżo po premierze Waszego nowego albumu „Post funk”. Olga w jednym z wywiadów powiedziała: „Jest duża szansa, że ten krążek nie spodoba Ci się za pierwszym razem”. W czasach, gdy muzyka walczy o uwagę w pierwszych sekundach, to dość ryzykowna deklaracja. Skąd u Was gotowość, by nie zabiegać o natychmiastową sympatię słuchacza?

Olga: Faktem jest, że nie tworzymy muzyki, która mogłaby zasilić pierwsze dziesiątki topowych stacji radiowych w Polsce. Teksty nie są lekkie, noszą pewien ciężar, sama muzyka jest taneczna, potupiesz do niej nóżką, ale jednocześnie lekko uniesiesz brew wsłuchując się w tekst. Myślę, że te utwory skrywają w sobie wiele więcej, niż można usłyszeć przy pierwszym odsłuchu. Jeśli ktoś wróci do tej płyty drugi czy trzeci raz i znajdzie w niej coś nowego, to dla nas znaczy więcej niż jednorazowy zachwyt. W czasach, w których wiele rzeczy walczy o uwagę przez kilka pierwszych sekund, my wierzymy w powolne odkrywanie bardziej, niż w pierwsze wrażenie. Staramy się, żeby nasze utwory mogły zostać ze słuchaczem na dłużej i odsłaniać kolejne oblicza.

Muzycznie „Post-Funk” to niesamowicie energetyczny, taneczny miks nu-disco i house’u. Z kolei w tekstach dotykacie bardzo samotnych, współczesnych tematów: przebudźcowania, algorytmów i ucieczki przed samym sobą. Skąd pomysł, by zapraszać ludzi do tańca przy piosenkach o lękach cyfrowego świata? Czy ten kontrast to Wasz sposób na odczarowanie samotności?

Arek: Na pewno jest w tym chęć pocieszenia słuchaczy płasmatym rytmem, który dla nas jest czystą radością. Mimo wszystko chcemy dawać ludziom nadzieję. Gdyby tym tekstom towarzyszyła przygnębiająca muzyka, byłoby to dla nas zbyt oczywiste i mniej porywające. Od zawsze lubiłem utwory, które przełamują brzmienie pozornie niepasującym tekstem, który w pewien dziwny sposób działa idealnie. Ten zabieg był szczególnie popularny wśród zespołów alternatywnych lat zerowych i dziesiątych, którymi się inspirujemy. Czy *Pumped Up Kicks* Foster the People stałoby się takim hymnem, gdyby słowa były tak wesołe jak słynna melodia? To właśnie napięcie między muzyką i tekstem, które wydają się sprzeczne, wywołuje u mnie dreszcz ekscytacji, którego szukam w piosenkach.



Fot. Jan Kucharczyk

Mówicie wprost, że na polskiej scenie brakuje ambitnego disco granego w stu procentach na żywo. Musieliście przecierać jakieś szlaki, żeby otwarcie mówić „gramy disco”?

A: Disco to kluczowy element naszego brzmienia, ale zmieszaliśmy je z bardziej agresywnym dance punkiem, przygotowując to elektroniką, soulem i indie rockiem. Sporządzanie tej mikstury zajęło nam lata eksperymentowania z przeróżnymi gatunkami, błędzenia i sprawdzania, w czym czujemy się najlepiej. To, co znaleźliśmy, nazywamy post-funkiem, ale nie przetarliśmy zupełnie nowego szlaku. Jak się okazało, ta etykieta funkcjonuje już na pewnym portalu muzycznym, przyklejona do Talking Heads i LCD Soundsystem. Tak się składa, że to jedno z najważniejszych inspiracji Madame Affair, więc cieszymy się, że możemy być polskimi spadkobiercami post-funku.

Arek, wspomniałeś kiedyś, że ta płyta to „bunt przeciwko wygodnej melancholii”. Dlaczego według Was melancholia stała się dzisiaj dla naszego pokolenia tak wygodna?

A: Wydaje mi się, że ten stan wybacza bezczynność. Można zamknąć się na długie lata w swojej bezpiecznej rutynie, która może nie dawać szczęścia, ale przynajmniej jest komfortowa.

Nic nie służy temu lepiej niż internet – niewyczerpane źródło treści, które algorytm dobierze tak, aby współgrały z naszym sposobem myślenia. Ta nieskończoność kontentu wpędza nas w pewien rodzaj współczesnego marazmu. Skoro mamy tyle rozrywki na wyciągnięcie ręki, nie musimy myśleć, czym zając sobie czas. Nuda stała się stanem zaskakująco trudnym do osiągnięcia, a według mnie jest bardzo potrzebna, bo to z niej często rodzi się kreatywność lub chęć spędzenia czasu z ludźmi. Zamiast się nudzić, izolujemy się na wyspach własnych algorytmów, które z przerażającą trafnością podsuwają nam kolejne materiały.

Na Waszej płycie moją uwagę przykuły tytuły takie jak „La Menterie” czy „Bowaryzm”, czyli pojęcia związane z iluzją i wiecznym niezadowoleniem z rzeczywistości. Skąd wzięły się te literackie tropy i fascynacja iluzją? Czy pod warstwą tanecznych brzmień kryje się bardziej romantyczna niż imprezowa opowieść?

A: Literatura to niezawodne źródło inspiracji, a *Madame Bovary* Flaubert’a to powieść, do której nawiązuje nasza nazwa. Czytałem ją w 2020 roku, kiedy zakładaliśmy Madame Affair, i już jedna z pierwszych niewydanych nigdy piosenek nazywała się *Emma* (główna bohaterka). *Pani Bovary* żyje we mnie od lat, bo to niesamowicie aktualna historia. Pierwotnie bowaryzm to poczucie permanentnej frustracji wynikające z bolesnego rozdźwięku między szarą rzeczywistością a wyidealizowanym światem literackiej fantazji. Dzisiaj tę zniekształconą wizję kreuje internet i kultura masowa. Należymy do pokolenia wychowanego na amerykańskich serialach dla nastolatków. Potem dostaliśmy telefony i przytłaczającą ilość pięknych, błyszczących wizji życia w dostatku, które obserwujemy przez wąskie okno social mediów. Romantyzm tej płyty leży w jej buntowniczych zapędach. Nie chcę zabrznieć zbyt górnolotnie, więc ograniczę się do znanego mi świata muzyki. W teorii internet wyrównał szanse, bo więcej osób może pozwolić sobie na nagrywanie muzyki. Skutek jest jednak taki, że ilość wydawanych utworów jest olbrzymia i przekracza zapotrzebowanie rynku. Żeby wyłonić się z tłumu, potrzebny jest więc budżet, bo jak



wiemy, nie wygrywają najlepsze piosenki, tylko te najlepiej wypromowane. Niby każdy może promować swoją muzykę w social mediach, a jednak reprezentacja klasy niższej w mainstreamie maleje. Nie mówię, że absolwenci prestiżowych szkół mają mniej do powiedzenia. Po prostu marzę o tym, by mniej uprzywilejowani artyści odzyskali swój głos.

Praca nad „Post-Funkiem” trwała ponad rok i podobno regularnie wywracaliście ten materiał do góry nogami, czasem kasując całe tygodnie pracy. Który numer z płyty okazał się największym koszmarem w studiu i zmienił się tak bardzo, że o mało nie wylądował w koszu?

Szymon: Przez ostatni rok faktycznie, skupiliśmy się w dużym stopniu na jak najbardziej satysfakcjonującym dopracowaniu materiału, który chcieliśmy umieścić na płycie. W trakcie jednej z prób musieliśmy podjąć ważną decyzję i zdecydować, który ze szkiców muzycznych, nad którymi pracowaliśmy, znajdzie swoje miejsce na naszym debiucie, a który niezbyt do niego pasuje. Podczas sześciu lat tworzenia muzyki często romansowaliśmy z gatunkami innymi niż funk i nu-disco, dlatego selekcja utworów, które ostatecznie znalazły się na płycie, była spora. Na szczęście skończyło się tylko na wywracaniu materiału na wszelkie możliwe strony. Wciąż pamiętamy o utworach powstałych podczas tworzenia albumu, które nie znalazły



Fot. Jan Kucharczyk

na nim swojego miejsca. Są to kompozycje, do których chętnie wrócimy, aby zrobić coś, co lubimy najbardziej – przearanżować je po raz kolejny. Takim sposobem może znajdą one miejsce na naszym następnym wydawnictwie. Wracając jednak do albumowych utworów i procesu ich nagrywania, z ulgą możemy stwierdzić, że żaden z nich nie okazał się studyjnym koszmarem. Ciekawym przypadkiem jest *Orlando*. Skleiliśmy ten kawałek z motywów, które powstawały w zupełnie innym czasie. Bridge ma 4 lata, motyw zwrotkowy 2 lata, refrenowy rok, ale struktura i tekst powstały krótko przed wejściem do studia, gdzie mieliśmy zamysł, w którą stronę chcemy iść, ale bez pewności, jak to zrobimy. Efekty przerosły nasze oczekiwania i bardzo pozytywnie nas zaskoczyły. Niektóre riffy potrzebują lat, by trafić do właściwej piosenki!

Na „Post-Funku” jest sporo tematów związanych z iluzją, samotnością i próbą odnalezienia siebie. Czy był tekst albo utwór, przy którym poczuliście, że odsłanianie się bardziej niż zwykle?

A: Zazwyczaj nasze teksty nie mówią tylko o nas. Są raczej wypadkową tego, co czujemy, i naszych obserwacji. Staramy się szukać emocji, które czuje grupa. Zdarzają się oczywiście utwory, które są przy tym bardzo osobiste. *Orlando* odsłania spadek poczucia własnej wartości i kryzys wiary w siebie. *Nie-znośna* rozpamiętuje złe decyzje sprzed lat i żałuje, że nie poszła inną drogą. *Dream Team* z kolei opowiada o ciemnych stronach przyjaźni, która też boli, a czasem znika na zawsze, zostawiając puste miejsce. Trudne było też przyznanie się do zazdrości, która pojawia się w wielu utworach na tej płycie. To wyjątkowo nie lubiana i skrywana emocja, chociaż przenika tak wiele aspektów współczesnego świata.

Gdybyście mieli stworzyć idealny scenariusz na to, jak, gdzie i w jakich okolicznościach ktoś powinien po raz pierwszy odpalić „Post-Funk” od deski do deski, jak wyglądałaby ta scena?

Sz: Pierwszym scenariuszem, który przychodzi nam do głowy jako kontakt z naszą muzyką byłby parkiet na domówce. Wyobrażamy sobie następującą scenę... Po ciężkim dniu zdalnej pracy przepełnionej nałogowym scrollowaniem insta otrzymujesz powiadomienie z zaproszeniem na domówkę. Średnio masz ochotę na nią iść, bo twój poziom przebudźcowania jest już wystarczająco wysoki. Ostatecznie decydujesz się, zachęcony możliwością odreagowania zbyt długiego tygodnia. Znajdujesz się już na imprezie i słyszysz klasyczną selekcję muzyki twojego kumpla trendsettera z wygórowanym gustem muzycznym – *Parcels*, *Daft Punk* i *L'Impératrice*. Nagle jednak w kolejce znajduje się coś, co Cię zaskakuje... Beat perkusyjny, z którego wyłania się riff, który sprawia, że chce Ci się tańczyć. Zaciękwiony pytasz swojego kumpla, co to takiego. Tytułowy numer z płyty *Post-Funk* *Madame Affair* – odpowiada. Uderza Cię bas otwierający *W Twoich Rękach* i słyszysz tekst, który rezonuje z tobą bardziej niż zwykle, wyraża coś, o czym myślałeś już od dłuższego czasu. Wycisasz telefon i udajesz się na parkiet.



Fot. Jan Kucharczyk

Płyta poszła w świat, machina ruszyła. Jakie są Wasze najbliższe plany i czego, poza pełnymi klubami oczywiście, najbardziej Wam teraz życzyć?

O: W tym momencie jesteśmy na finiszu trasy koncertowej. Nie zwalniamy jednak tempa i już planujemy jesienne koncerty oraz kolejne działania. Jeśli mielibyśmy czegoś sobie życzyć, to odpoczynku i nudy, w których moglibyśmy zabrać się za pi-

sanie drugiej płyty. To właśnie wtedy, gdy choć na chwilę odcinamy się od pracy i miejskich bodźców, wpadamy na najlepsze pomysły. Będziemy też prowadzić wakacyjną autorską audycję w Radiu Afera, w której podzielimy się naszą ulubioną muzyką minionej dekady. *Nostalgia Lat Dziesiątych* będzie we wtorki o 20:00! Zapraszamy też wszystkich czytelników do obserwowania naszych profili, gdzie pojawiają się informacje o koncertach.



Poznań do poznania (na nowo)

„Wstęp do Poznania. Przewodnik po sercu miasta”

Tekst: Kacper Jakubiec

Zdjęcia: Justyna Śmidowicz

„Wstęp do Poznania. Przewodnik po sercu miasta” to projekt, który wyrasta z potrzeby innego spojrzenia. Uważnego, estetycznie wrażliwego i zaangażowanego w przywracanie architektury, którą odruchowo – i nieślusnie – tylko mijamy. Na blisko 500 stronach zawiera się praca siedmiu kobiet, sześć tras z opisem ponad 220 obiektów i kilkaset fotografii budujących narrację. A to wszystko w jednym przewodniku.

Poznań – miasto...

Ale czy to jeszcze przewodnik? Kiedy dochodzę do rynku mam ze sobą jedynie telefon. Coś, co codziennie noszę w kieszeni, bezwiednie do niej chowam i odruchowo wyciągam. Przecinam Plac Wolności, mijam gmach Muzeum Narodowego i dalej podążam brukową ulicą w dół, obok opuszczonej kamienicy na rogu ulic Szkolnej i Paderewskiego. Kiedy dochodzę do Pałacu Działyńskich, pierwszego punktu na trasie mojego zwiedzania, zaczynam rozumieć, że tak jak ten telefon, Poznań też za bardzo mi spowszedniał, stał się częścią szybko mijanej codzienności. Teraz jednak włączam przewodnik i uważnie patrzę. Bo „Wstęp do Poznania” mieści się w kieszeni. Tak banalnie zespolony z codziennością, że sięgnięcie po niego wymaga zerowego wysiłku. Wystarczy go ściągnąć. Skroluję do spisu treści, hiperłączem przeskakuję do interesującego mnie obiektu i już jestem. „Powstał w latach 1773–1776...”, w XIX w. pełnił funkcję nieformalnego uniwersytetu, będąc centrum polskiego życia społecznego i patriotycznego. Dowiaduję się, że płaskorzeźby przedstawiają rzymską procesję, a orzeł, który – jak zawsze myślałem – wieńczy centralną część fasady, okazuje się pelikanem.

„Wstęp do Poznania. Przewodnik po sercu miasta” od pierwszego zetknięcia prezentuje inną perspektywę. Pomysłodawczyni Joanna Lip, przewodniczka miejska PTTK po Poznaniu, prowadzi profil@poznanska_kamienica, gdzie opowiada o architekturze miasta. W ten sposób kieruje uwagę obserwujących w miejsca, które w codziennym, rutynowym przemierzaniu znanych ulic mija się niepostrzeżenie. Przywraca tym samym kamienicom, budynkom, ukrytym placom widzialność, ponownie włączając je do miejskiej tkanki. Rozwinięciem tej idei staje się przewodnik. Będąc efektem pięcioletniej pracy zespołu siedmiu kobiet nie powtarza treści, ale tworzy zupełnie swoją osobowość. Spójną, estetyczną i merytoryczną.

Początek „Poznania”

Pomysł pojawił się już w 2020 r. To wtedy Joanna Lip spotkała się z Jagodą Jankowską, ilustratorką i projektantką graficzną. Profil@poznanska_kamienica miał dopiero 600 obserwujących, ale już wtedy od słowa do słowa, w rozmowach o miejskiej przestrzeni, architekturze i historii, pojawiła się koncepcja nowego przewodnika po Poznaniu. Nie mógł on jednak powstać bez zdjęć. Na ogłoszenie, ponownie zamieszczone na Instagramie Asi, odezwała się fotografka Justyna Śmidowicz – absolwentka Uniwersytetu Artystycznego – i to jej wrażliwość artystyczna i estetyka od razu pozwoliła twórcom znaleźć wspólny język. Od tego momentu cała trójka zaczęła wspólnie przemierzać ulice miasta, próbując znaleźć sposób, aby je przedstawić i oddać jego wielowarstwowość.

Dlatego „Wstęp do Poznania” nie jest listą najważniejszych zabytków, nie wskazuje „top 10 atrakcji, które musisz zobaczyć”. Zamiast tego skupia się na narracji, umiejętnie buduje opowieści o tożsamości miasta, która zamknięta jest w sześciu trasach, wyznaczonych w obrębie centrum. Znajdziemy tutaj więc wszystkie klasyczne zabytki, jak Ratusz, Fara czy Zamek Cesarski, jednak obok nich przeczytamy o Zaułku Ślepego Antka, Telewizorach, Rzeźni Miejskiej czy Kamienicy Hugona Kindlera. Jest to niewątpliwa siła przewodnika, jego przekrojowość i świadomość, że pełny obraz to nie tylko zabytki najbardziej znane,

największe, najstarsze. To także te kamienice i budynki, których fasady towarzyszą spacerom ulicami miasta. Każdy z tych elementów wchodzi w skład jego fizjonomii i warto zwrócić na niego uwagę w urbanistycznym splocie.

W 2024 r. do zespołu dołączyła Marika Krystman, redaktorka, autorka tekstów i współzałożycielka Słońce Concept na Jeżycach. Tam przypadkiem wpadła na nią Joanna, szukając w mieście ciekawych miejsc i od słowa do słowa projekt zyskał redaktorkę. Z czasem dołączyły do niego także korektorki Ela Woźniak i Julita Paprotna oraz Sylwia Mosińska odpowiedzialna za skład. Każda była osobą z polecenia. Tym samym przewod-



nik zyskał naturalną siłę oddolnej inicjatywy, realizowanej z pasji i osobistej chęci zaangażowania. W 2024 r. gotowe były także opisy zabytków oraz fotografie. Wystarczyło znaleźć wydawcę.

W 80 mb dookoła centrum

„Ale czy to jeszcze przewodnik?” – pytam Asię, spoglądając na kamienicę na rogu Małeckiego 27 i Strusia 4 nazywaną „Pod Wiewiórkami”. Jak wcześniej mi wyjaśniła, to było pierwsze miejsce, o którym napisała na Instagramie. „Całe półtora roku, zanim się ukazał, to była debata, rozmowy z wydawnictwami i ciągle pytanie: czy to jest album, czy przewodnik? Na album to jest za dużo tekstu, na przewodnik jest za grube, bo to prawie 500 stron (...) Chciałyśmy to zrobić po swojemu i przez to myślę, nie udało nam się tego wydać z żadnym komercyjnym wydawnictwem (...) Myślisz: przewodnik, dostajesz to i to. Nasz może gryźć się z tym klasycznym postrze-

ganiem, bo jest to coś pomiędzy albumem, przewodnikiem, atlasem architektury, atlasem miejsc...”

Autorki ostatecznie postanowiły wydać swoją pracę w formie e-booka. Okazało się to nie tylko rozwiązaniem bardzo praktycznym, ale też pozwalającym zachować pełną kontrolę nad stroną wizualną. Wersja elektroniczna jest nie tylko wygodnym narzędziem podczas zwiedzania miasta, lecz także wprowadza elementy interaktywne, jak linki ze zdjęciami archiwalnymi czy pinezki zaznaczające interesujący nas obiekt na mapach w telefonie. Testując wszystkie opcje, trafiam pod Pałac Działyńskich. Czytam, że „W 1945 r. pałac spłonął. Jego stan po pożarze można zobaczyć TUTAJ”. Klikam i na czarno-białym zdjęciu ukazuje się wypatroszona bryła z jedynie stojącymi ścianami oraz fasadą. To kolejna warstwa „Wstępu...”: możliwość jednoczesnego obcowania z tym, co istnieje dziś, i tym, co już minęło.

Za opisy odpowiada Joanna Lip. To w jej słowach poznajemy historie miejsc, architektoniczne detale, schowane podwórka i zaułki. Teksty są skondensowane, płynnie poruszające się między opisem dziejów obiektu, jego warstwy wizualnej oraz wzmiankami o najważniejszych osobach z nim związanych. Zapewniają wszystkie niezbędne informacje jednocześnie nie przebódźcowując odbiorcy. Jest to o tyle istotne, że na każdej autorskiej trasie proponowanej w przewodniku może znajdować się ponad 30 pozycji do zobaczenia, a samego zwiedzania przewidziane jest na prawie 20 h (po ok. 3 h na trasę). Jednak przewodnik nie narzuca tempa, pozwala zatrzymywać się przy każdym obiekcie lub podążać tylko do wybranych. W końcu możemy mieć go zawsze przy sobie i z ciekawości sprawdzać pojedyncze budynki, przed którymi akurat przyjdzie nam stanąć.

Drugą warstwą, która daje tekstom przestrzeń, są fotografie Justyny Śmidowicz. Znacznie częściej skupione na detalu, próbujące uchwycić moment, pewną impresję miejsca, do którego się udajemy. To sprawia, że coraz mocniej zaczynamy uczestniczyć w doświadczeniu miasta, a nie tylko jego zwiedzaniu. Kadry jeszcze wyraźniej umieszczają nas w przestrzeni, kiedy spoglądamy z dystansu na opisany budynek, gdy spod kamienicy wzbijają się do lotu gołębie, w momencie bryła ar-



chitektoniczna rytmicznie gra z cieniami i światłem. Fotografie pozwalają nam spojrzeć na miasto innymi oczami, zmienić percepcję i rozpocząć opowieść o architekturze, tożsamości – o Poznaniu.

Na tych dwóch płaszczyznach, wizualnej i opisowej, działa „Wstęp do Poznania. Przewodnik po sercu miasta”. Połączenie tych elementów sprawia, że prawie 500 stron nie przytłacza, a przewija się bardzo intuicyjnie. Dodatkowo organicznie spaja się z coraz bardziej popularnym sposobem zwiedzania, w któ-



rym chcemy spojrzeć na miasto świadomie, koncentrując się na lokalności, doświadczeniu miejsca. Jak dopowiada Joanna: „to jest pokazane tak, jak my zwiedzamy miasto. Powoli, uważnie, z momentem na zatrzymanie się i oglądanie”. To sprawia, że zwiedzanie z tym właśnie przewodnikiem nie będzie tylko domeną turystów, osób, które odwiedzają Poznań po raz pierwszy. Także mieszkańcy dowiedzą się z niego o najważniejszych zabytkach, jak również zejda z głównych i utartych szlaków, patrząc na miasto od nowa. W efekcie otrzymujemy przewodnik intuicyjny, dostosowany do współczesnego, indywidualnego odbiorcy, ze spójną i atrakcyjną szatą graficzną i narracją, która pozwala doświadczyć Poznania. Ale czy to jeszcze przewodnik?

Koniec poznania

Swoją trasą dochodzę do Parku Starego Koryta Warty. Kieruję się na Most Berdychowski – przechodzę nim po raz pierwszy – obserwuję rowerzystów, spacerowiczów i tych, którzy przysłuchują się muzyce dobiegającej ze sceny rozłożonej na „Świewtowianki”. Brzeg rzeki, w której odbija się zachodzące słońce, usiany jest kocami i ręcznikami. Na moście Chrobrego migają wielokolorowe samochody, a znad dachów kamienic wyrastają wieże Bazyliki Archikatedralnej. Spoglądam na drogę, którą przyszedłem. Widzę komin nieczynnej gazowni miejskiej w kolorze przypominającym szatę graficzną przewodnika, który mnie tu doprowadził. W pamięci mam Pałac Działyńskich, ulicę Woźną, wokół której przespacerowałem się z telefonem w ręce. Nie dlatego, że nie uważałem – wręcz przeciwnie. Czytałem o Farze, Szkole Baletowej, odwiedziłem moje ulubione podwórko między kamienicami przy Wielkiej 21 i Woźnej 9. Czerwony zegar na dachu Politechniki Poznańskiej wskazuje 19:42. Dochodzą mnie rozmowy, szum samochodów i muzyka znad Warty. Opieram się o balustradę mostu i patrząc na fragment panoramy, jeszcze przez chwilę zostaję w szumie miasta, które już jest gotowe na lato.

„Wstęp do Poznania. Przewodnik po sercu miasta” dostępny jest na poznanskakamienica.pl

WCHODZIMY NA WYŻSZY POZIOM



pyra bar
wierni pyrom od 2009r.

ul. Strzelecka 13 Poznań  @pyrabar  @pyrabar_

na falach

wstęp
wolny

Strzeszynek

Oskar Cymś 31.07

Mery Spolsky 01.08

Roxie Livka 21.08

po prostu Kajtek 22.08

Boron Zippy Ogar

Malta

Dawid Kwiatkowski 25.08

Koncert z okazji otwarcia Mistrzostw Świata w kajakarstwie

Więcej informacji na stronie
nafalach.poznan.pl

RADIO
AFEJA
POLITECHNIKA
POZNANSKA
98,6 FM

*posir

POZnań*